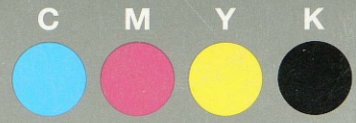
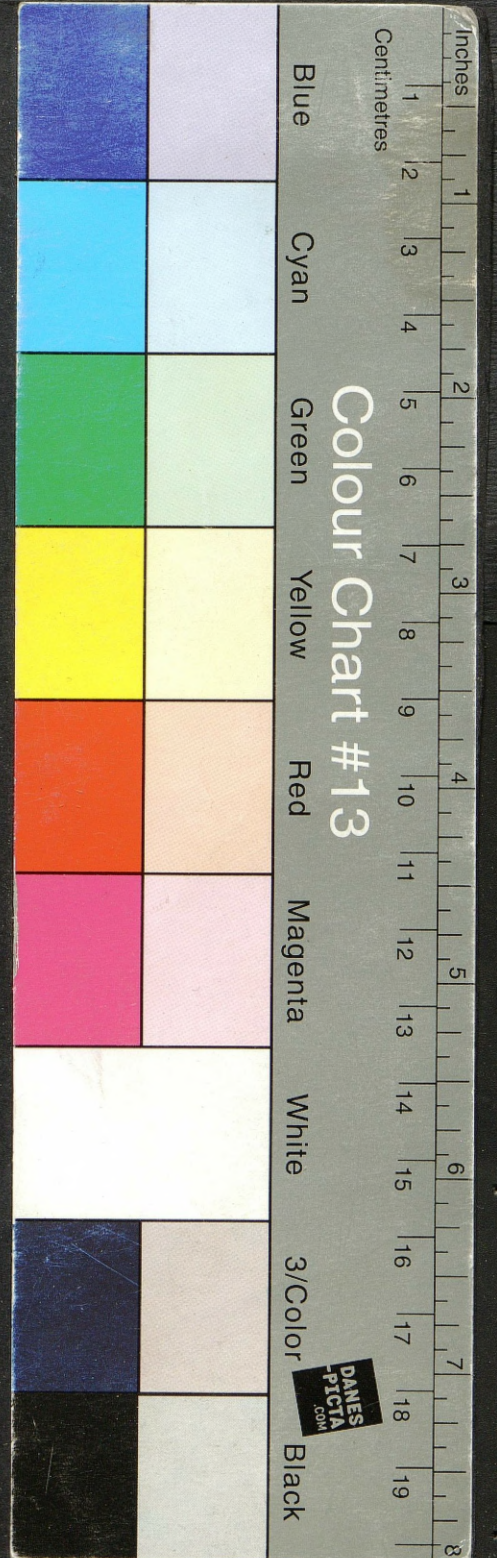


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8  
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19





Jan Nałęcz Rostworowski

# Wspomnienia

z r. 1863 i 1864



W Krakowie

Spółka Wydawnicza Polska

1900

# Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie

poleca następujące nowsze wydawnictwa:

*Antoniewicz Karol ks. Poezye świeckie i religijne*, z dwoma portretami trzecie wydanie zhr. 2.— w ozdobnej oprawie zhr. 3.—

*Badeni Jan ks. T. J. Studya i szkice*. Wydanie nowe zbiorowe w 3 tomach zhr. 4:50.

*Bakowski K. Dr. Podania i legendy krakowskie*. 50 ct.

— *Posażna panna*. Powieść. Zhr. 140, w oprawie 2.—

*Bilczewski ks. dr.*, prof. Uniw. *Eucharystya w świetle najdawniejszych pomników: piśmiennych, ikonograficznych i epigraficznych*. Wydanie luksusowe w wielkim formacie, str. 328 z 47 rycinami i tablicą w heliografurze. Dzieło odznaczone nagrodą Akademii Umiejętności. Cena zhr. 5.—, w starannej oprawie zhr. 6.—

Pierwsza w tym rodzaju praca, nietylko w literaturze naszej lecz i ogólnieuropejskiej, dokonana na podstawie kilkuletnich badań w podziemiach katakumb rzymskich. — Ryciny są wykonane wiernie i starannie.

*Chotkowski Wł. ks. p. prof. Uniw. Dzieje zniweczenia Unii Kościoła na Białorusi i na Litwie*. Zhr. 1:60, w oprawie 2.—.

*Fogazzaro Antonio. Dawny światek*. (Piccolo mondo antico). str. 418, zhr. 2.—  
Tłómaczenie rozgłosnej powieści znakomitego pisarza włoskiego, dokonane wykwiótnem piórem pani K. M.

*Golian Zygmunt ks. Kazania niedzielne i świąteczne*. Wydanie drugie, obszerny tom zhr. 2.—.

— *Listy duchowne*, wydane po raz pierwszy za zezwoleniem osób, do których były pisane. zhr. 2.—, na papierze lepszym, ozdobnie oprawne. zhr. 3.—.

*Herold Polski*. Czasopismo naukowe, ilustrowane, poświęcone heraldyce i sfragistyce, rocznik I. (1897) z kilkuset ilustracyami zhr. 8.—, w b. starannej oprawie zhr. 10.—. *Rocznik II.* (1898) zhr. 5.—.

*Janów Biskupi czyli podlaski*, z dawnych i społeczesn. źródeł, str. 382, zhr. 1:50.  
Cenna ta książka obejmuje dzieje Podlasia od czasów najdawniejszych; historję unii; kreśli obszernie epokę 1861—1864 i doprowadza do ostatnich czasów kasaty dyccezyi, zajęcia kościołów i klasztorów na rzecz prawosławia.

*Jirasek Alojzy. Raj świata*. Powieść na tle epoki kongresu wiedeńskiego, tłumaczenie prof. Króćka, zhr. 1:40, w oprawie zhr. 1:80.

*Kalinka Walerjan ks. Dzieła*. Tom I i II. *Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta*. 2 tomy zhr. 3:60, w ozdobnej oprawie zhr. 4:60.

— *Dzieła*. Tom III i IV. *Pisma pomniejszych*. Zawierają na 637 stronach 30 prac znakomitego autora, treści przeważnie historycznej. — Cena obu tomów zhr. 3:60. ozdobnie oprawnych zhr. 4:60,

— *Sejm czteroletni* (Zbiorowego wydania „dzieł“ Tom V, VI, VII, VIII i IX). Wydanie czwarte. Trzy tomy w 5 częściach zhr. 7:70, opr. zhr. 10.—

— *Galiya i Kraków pod panowaniem austryackiem*. (Tom X zbior. wydania) w 8-ce, str. 470, zhr. 2:50, w oprawie zhr. 3.—

Niezmiernie ciekawa książka, której wydanie I zabronione było nietylko w Rosyi, lecz i pod zaborem pruskim i austryackim.

*Kallenbach dr. Józef*, prof. Uniwersytetu. *Adam Mickiewicz*. Pierwsza fachowa ocena wszystkich dzieł wieszca, a zarazem biografia, oparta na tle znanych dotąd i zupełnie nowych faktów. Dwa obszerne tomy, z 4 rycinami, zhr. 5.—, w opr. płóciennej zhr. 6:20.

*Koźmian St. Rzecz o roku 1863*. Drugie tanie wydanie, 3 tomy broszurowane zhr. 3.—. Tom każdy osobno po zhr. 1:50.

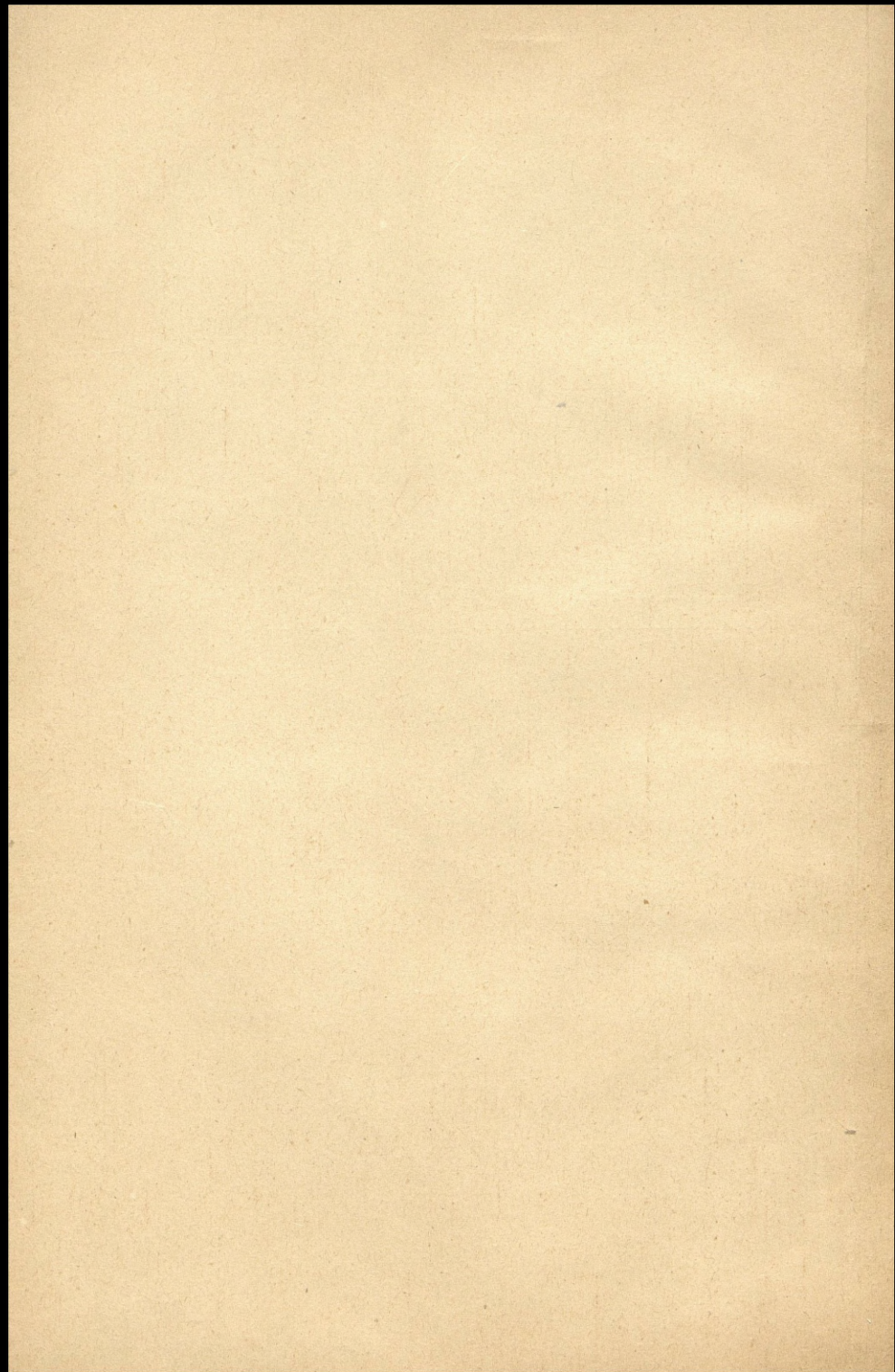
*Kodeń Sapiechów, jego kościoły i starożytny obraz Matki Boskiej*, napisał P. J. K., zhr. 1:50.

*Kojałowicz X. W. S. J. Herbarz rycerstwa W. X. Litewskiego*, t. zw. „Compendium“, przedrukowany ze słynnego rękopisu — str. 526 ze spisem nazwisk i licznymi rycinami herbów, zhr. 6:50 w b. starannej oprawie zhr. 8:50.

*Kotaczkowski Klemens*, generał. *Wspomnienia księga I. II i III*. od r. 1793 do 1820, z kilkunastu pięknymi rycinami, 3 tomy, zhr. 3:60, oprawne w płótno zhr. 4:80.

Zobacz 3 stronę okładki.

Wspomnienia z roku 1863 i 1864.



JAN NAŁĘCZ ROSTWOROWSKI

---

# WSPOMNIENIA

z roku 1863 i 1864



W KRAKOWIE  
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.  
1900.

93(438)9



335 11 / 2

## PRZEDMOWA.

---

Autor *Wspomnień z 1863 i 1864 roku*, ś. p. Jan, herbu Nałęcz, Rostworowski urodził się w roku 1838 w Kłoczowie w podlaskiem, z ojca Juliana i matki Izabeli z Orsetich. Pierwsze nauki odbył z odznaczeniem w Lublinie, następnie ukończył studia rolnicze w Grignon we Francyi. Po powrocie do kraju miał zamiar osiąść na roli, powstanie jednak zwróciło siłą rzeczy młodego Jana na inne pole. Te chwile z jego życia objął on w swoim pamiętniku, kreślonym z tą szczerością i prostotą, jakie go stale cechowały. Nieugiętych przekonań, daleki jednak od fanatyzmu i nienawiści, szedł Rostworowski do powstania, jak większa część ówczesnej młodzieży, bez wiary w to, na co się porywano, a z tą niemal rozpędową siłą rozpacz, z jaką się rzuca człowiek w ogień za ukochaną ginącą istotą, i niósł swej ojczyźnie w ofierze, na co go stać było.

Wszedłszy do oddziału i zaliczony do szeregowców trzeciej sekcji strzelców, a następnie wskutek odznaczenia się, objąwszy nad nimi komendę, ani siłą fizyczną nie imponował, gdyż był drobnej postaci i niskiego wzrostu, ani życiowem lub wojennem doświadczeniem: górował jedynie moralną przewagą, a prowadził ludzi sercem szczerotą, jakie im okazywał w każdej okoliczności, zapominając o sobie, gdy chodziło o losy cudze, surowym będąc dla siebie, skorym do poślizgnięcia się sądzenia innych.

Jako towarzysz, łatwego i przytem wesołego humoru, nie lubiący szperać w ciemnych kartach życia, podnosząc raczej jasne i lepsze, w przeciwnościach nie upadał na duchu i działał orzeźwiająco na swoje otoczenie.

Po emigracyi i powtórnyim powrocie do kraju osiadł w Zawadówce, w powiecie włodawskim, wraz z żoną swą Rozalią z Waliszewskich, siostrą znanego z prac historycznych pisarza. Stąd zasiliał swymi artykułami przez czas dłuższy *Gazetę Rolniczą*. W roku 1889 na konkursie, ogłoszonym przez to pismo na najlepszą »rachunkowość rolniczą«, zdobył Rostworowski pierwszą nagrodę. Powołany w roku 1890 na radcę Dyrekcyi szczegółowej Towarzystwa kredytowego w Siedlcach, po kilku latach wezwany został przez komitet warszawski do prowadzenia biura w Delegacyi statystycznej świeżo zawiązanej, a owocem tej pracy były wydane przezeń w roku 1896 *Wiadomości statystyczne, dotyczące dóbr obciążonych pożyczką Towarzystwa kredytowego ziemskiego*, (Warszawa. Druk Noskowskiego) które i ogół i krytyka fachowa powitały z uznaniem. Gdy w następstwie, ze względów oszczędnościowych, zawieszono działalność biura statystycznego, Rostworowski bezinteresownie i do ostatnich dni życia (1898 r.) agendę tego działu prowadził.

---

**B**ardzo lubię stare pamiętniki, pisane bez żadnej pretensyi. Jeżeli niema w nich ważniejszych zdarzeń, to przynajmniej społeczeństwo ówczesne maluje się rzetelnie, minione wieki żywo stają przed oczyma czytającego. Każdy, według mnie, powinien pisać dla siebie, dla bliskich, a jeżeli ma po temu zdolności, to i dla ogółu. Takie kroniki są w odległej przyszłości bardzo cennym dla historyka materiałem. Nie chcę mówić, że to co piszę będzie miało jakieś znaczenie, jednak będąc świadkiem ważnych w moim kraju wypadków, a nawet, lubo małoznaczących, odegrawszy w nich rolę, postanowiłem je opisać, o ile widziałem i pamiętam.

Wypadki, które poprzedziły 1863 rok, stan umysłów w kraju, działalność hr. Andrzeja Zamoyskiego i margr. Aleksandra Wielopolskiego, nie będą dla potomności straconymi. Opisy tej epoki są liczne i wyczerpujące, bo oparte na dokumentach dla mnie niedostępnych, albo takich przynajmniej, których niemam pod ręką. Ostatecznie *Aspiracye porozbiorowe narodu polskiego* streściły w sobie wszystko, co pod tym względem powiedzieć można. Chcąc więc pisać w tym samym przedmiocie, musiałbym pomimowolnie przepisywać całe ustępy z tego poważnego dzieła, co według mnie byłoby zupełnie niepożyteczną pracą. Dlatego więc pamiętnik mój rozpocznę od chwili, kiedy po coraz burzliwszych manifestacjach nastąpił zbrojny wybuch, t. j. od dnia 23. stycznia 1863 roku.

Komitet centralny narodowy, stojący na czele stronnictwa ruchu, został, jak to zwykle bywa, prześcignionym przez rozgorączkowanych jego własnymi działaniami zapaleńców, któ-

rzy niechcąc iść do wojska rosyjskiego opuścili Warszawę i udali się w sąsiednie lasy. Tak zaskoczony zebrał się na radę, skutkiem której było postanowienie, aby poprzeć ten związek powstania. Komitet centralny narodowy, przekształcił się na »Rząd narodowy tymczasowy« i nie ujawniając się równie jak dotąd, wydał rozkaz swym sprzyśniętym uderzyć na wszystkich punktach na wojska rosyjskie. Zamach został wykonany, lecz się nie udał. Rząd narodowy tymczasowy w proklamacyi swej wyrzekł, że kijami trzeba zdobyć karabiny, a karabinami armaty; rzeczywiście bowiem broni, prócz niewielkiej ilości strzelb myśliwskich, które udało się przed poszukiwaniem rządu ukryć, nie było żadnej, tylko kosa i piki. W niektórych miejscach udało się zadać pewną klęskę nieprzyjacielowi; w innych powstańcy zostali rozprószeni, w innych jeszcze, z powodu niestawienia się na czas wielkiej liczby spiskowych, nie przyszło do napadu; nigdzie jednak rezultat nie został osiągniętym, gdyż nigdzie wojska nie rozbrojono.

Tak więc dnia 23. stycznia 1863 roku kraj cały obudził się w nowem zupełnie położeniu. Kość była rzuconą, wojna całej rosyjskiej potędze wypowiedzianą, pozostawało ją podtrzymać, zadanie jeżeli nie niepodobne, to przynajmniej wyjątkowo trudne. Nie będąc wojskowym, nie mogę ocenić, czy powstanie mogło być odnieść tryumf nad wojskami regularnemi, zdaje mi się jednak, iż przy zmianie sposobu wojowania, przy ulepszonej i dalekonośnej broni, jest prawie niepodobieństwem, aby kosa lub pika w rękę niewprawnego człowieka mogła mierzyć się z karabinem, będącym w rękę żołnierza doświadczonego i pewnego siebie. Jeżeli to nie jest prawdą ostateczną, jeżeli nawet przy tak uderzającej różnicy może wziąć górę powstanie, to chyba tylko wtenczas, gdy naród cały rzuca się do broni jak jeden człowiek i jeżeli nie pokona w otwartym boju przeciwnika, to przynajmniej uczyni mu niemożliwym pobyt w kraju, szkodząc mu wszelkimi sposobami. W naszym powstaniu z 1863 roku nie było żadnego z warunków powodzenia, nie było broni, nie było wojskowych, nie było udziału

wszystkich warstw ludności; powstanie więc nie mogło liczyć na powodzenie, wyjąwszy w razie interwencji mocarstw zagranicznych. Przy siłach i środkach tak nierównych, pierwszy jedynie napad mógł mieć powodzenie; gdy to chybiło, niepodobna było przypuszczać odniesienia jakichkolwiek korzyści nad nieprzyjacielem już obudzonym i czujnym. Zdaje się, że i rząd narodowy tymczasowy nie miał nadziei zwycięstwa, a liczył jedynie na pomoc obcą, choć odezwy jego, których było bez liku, brzmiały, iż na swoje jedynie siły rachować należy. Dowodem tego, według mnie, było nadanie powstaniu odpornego jedynie kierunku, wyczekiwanie, unikanie potyczek i niegro madzenie się w większe masy.

Usposobienie kraju łatwo było przewidzieć. Po wybuchu powstania natychmiast ludność miejska przyjęła w niem udział. Właściciele ziemscy pozostali do czasu biernymi, lubo nie obojętnymi widzami dramatu, odgrywającego się w ich oczach, włościanie zaś do końca na żadną nie przechylili się stronę, wyczekując ostrożnie. Z mieszkańców wsi pozostali więc tylko oficjaliści, służba i nieliczny proletaryat, którzy wzięli udział w walce.

Po pierwszym niepowodzeniu oddziały powstańców schroniły się w lasy i zaczęły pomnażać tymi, którzy nie stawili się na pierwsze wezwanie. Wojskowe komendy, czy to mając przesadzone wyobrażenie o siłach polskich, czy też aby przygotować się do zadania ciosu stanowczego, prawie nie ściagały powstańców, zima przytem nadzwyczaj lekka, sprzyjała ukrywaniu się w lasach.

Dość że upłynęło kilka tygodni, a powstanie nietylko nie upadło, lecz wzmocniło się nawet ku wielkiemu zdziwieniu ludzi zimniej lecz dalej widzących. Zaczęły się utarczki po całym kraju, małe ale ciągłe; powstańcy rozsypywali się i znów zbierali, czasem uderzali na mniejsze oddziały, niekiedy zadając im nawet stosunkowo dość znaczne klęski. Szlachta, prócz nielicznych wyjątków, nie miała udziału czynnego w walce, była jednak pomocną, dostarczając żywność, ubranie, broń

i wiadomości. Lubo tak mało było prawdopodobieństwa pomyselnego rezultatu, skoro jednak kość została rzuconą, prawie wszyscy, wyjąwszy włościan, wzięli się do popierania rozpoczętego dzieła. Ten słaby promyk nadziei stał się wszystkim, co wówczas kraj mógł widzieć w przyszłości, był to pewien rodzaj nadziei zdesperowanych.

Zaraz po wybuchu rząd narodowy tymczasowy wydał proklamację, uwalniającą włościan od opłaty czynszu właścicielom, zaco ci ostatni mieli być wynagrodzeni. To, czego nie uczyniono w chwili upadku Rzeczypospolitej, ani w roku 1830, t. j. wtedy, kiedy czyn ten mógł być odnieść pewien skutek, to samo przeszło teraz niespostrzeżenie. Włościanin polski jest zanadto ostrożny i niedowierzający, aby akt podobny ze strony rządu, którego nie znał, ani mógł widzieć, popieranego przez oddziały zbrojne, niemogące dotrzymać placu wojskom regularnym, miał go zachęcić do rzucenia się w walkę tak nierówną, do której nie popychał go bodziec najważniejszy: miłość ojczyzny. To też jak przed, tak i po ogłoszeniu aktu uwłaszczenia przez agentów rządu narodowego lub przez naczelników zbrojnych oddziałów, włościanie nie zmienili w niczem swej biernej postawy, pomimo że żaden chyba właściciel ziemski nie upominał się o czynsz, powyższym dekretem skasowany. Jak zwykle bywa, tak stało się i w tym wypadku, gdy darowujący potrzebuje łaski lub pomocy obdarowanego. Włościanie pojmowali instynktowo, że wyczekując nic nie tracą, że tak liczna warstwa ludności jest potrzebna każdemu rządowi i że, jeżeli państwo polskie się odrodzi, to zwolnienie ich z czynszów nie upadnie, choćby się w niczem do sprawy narodowej nie przyłożyli, a również jeżeli powstanie zgniecionem zostanie, to rząd rosyjski na nich zechce się oprzeć i ująć ich sobie.

Z wiosną powstanie polskie rozszerzyło się i do dalszych prowincyi. Litwa, Białoruś, Inflanty, Wołyń, Podole, Ukraina dały znaki życia, aby przekonać Europę, że one są polskimi ziemiami. Galicya i Poznańskie nie pozostały również oboję-

tnemi; oddziały powstańcze formowały się lub wzmacniały w tych dwóch ostatnich prowincjach i wkraczały do Królestwa lub na Wołyń. Broń, umundurowanie i amunicya również stamtąd płynęły.

Powstanie z początku zostało przyjęte z niedowierzaniem przez Europę; nie wróżyono mu dłuższego życia jak parę tygodni, gdy jednakowoż te, równie jak kilka innych minęły, poczęto się nami zajmować. Rząd francuski pierwszy dał inicjatywę, wezwawszy Anglię i Austryę do przedstawienia noty wspólnej gabinetowi petersburskiemu, aby dawszy stosowne ustępstwa położył koniec walce i nieszczęściom Polski. Do uczynienia tego kroku, przyczyniły się w znacznej części Prusy, które zaraz w początkach powstania zawarły z Rosyą kartel wzajemnego wydawania sobie schwytanych polskich powstańców, strzeżenia granic, możności przekraczania ich nawet w razie potrzeby i t. d. Dlatego też powstanie polskie daleko łatwiej się trzymało na pograniczach Austrii, gdzie rząd przez szpary patrzył na działania agentów polskich. Zaproszenie rządu francuskiego nie miało skutku, Anglia i Austria, jakby nie chcąc dotrzymać czego żądają, nie zgodziły się na podanie noty wspólnej, postanowiły tylko przedstawić noty swoje jednocześnie z francuską. Ta niezgoda osłabiła wielce ich doniosłość, reszty dokonał ton, w jakim były napisane, szczególnie angielska. Widocznem było, że rząd rosyjski, nie przyjąwszy uwag trzech rządów zachodnich, nie naraził się na żadne trudności; tak też zrobił i to w sposób niezmiernie stanowczy a nawet szorstki.

Niepodobna opisywać wypadków wojennych w tego rodzaju partyzantce, ograniczę się więc na przytoczeniu tego tylko co widziałem, lub o czem z pewnych źródeł mam wiadomość.

Początkowo powstanie polskie rozwinęło się najsilniej w Krakowskiem i w Sandomierskiem, do czego sprzyjała bliskość Galicyi. Langiewicz, były oficer artylerji pruskiej, potem jeden z towarzyszy Garibaldiiego, na czele oddziału, liczącego podobno do 10.000 ludzi, stoczył w tych okolicach kilka

bitew, jak na te okoliczności dość szczęśliwych. Potrzeba było pokazać narodowi człowieka, aby obudzić pewne zaufanie, więc rząd narodowy uchwycił się Langiewicza i mianował go dyktatorem, przez co ujął sobie szlachtę, obawiającą się Mierosławskiego i jego czerwono-demagogicznych zasad, lecz zdaje mi się, zaszkodził tem samem Langiewiczowi. Powstanie miało nareszcie głowę widomą, w nią więc skierowały się pociski rosyjskie. Langiewicz, pomimo dzielnej obrony, przyparty został do granicy galicyjskiej, a nareszcie przeszedł ją, opuszczając swą komendę. Czyn ten bardzo źle sprawił wrażenie i różnie był tłumaczony. Czy Langiewicz, nie widząc możliwości pomyślnego rezultatu, chciał się usunąć od udziału w powstaniu, czy, jak inni twierdzili, widząc, że główne siły nieprzyjacielskie przeciw niemu są skierowane, umyślił potajemnie przetrwać się osobiście w Lubelskie, aby tam podnieść ducha i usiłowania Rosyan rozdzielić, tego nie wiem. W pierwszym razie opuszczenie ludzi, którzy mu się powierzyli, byłoby zaiste czynem godnym potępienia, tem więcej, że konieczności nie było, skoro pozostały oddział choć w części zdołał przedrzeć się w głąb kraju przez otaczające go siły, wielu jednak wskutek zniknięcia wodza uciekło do Galicyi. Myśl zjawienia się w Lubelskiem mogła być dobrą, lecz należało mianować zastępcę, przemówić do żołnierzy, by nie dać pozorów ucieczki. Bądź co bądź z aresztowaniem dyktatora przez Austryaków ustały gromadniejsze działania i stanowczo wojna w całym kraju przybrała charakter partyzantki.

Powstanie na Rusi, gdzie odznaczył się Różycki, synu weterana z 1831 roku, było krótkotrwałe; lud nieprzychylny pomógł rządowi do jego stłumienia. Taksamo rzecz się miała z Inflantami, gdzie wybuch rozpoczął się od zabrania dość znacznego zapasu broni; tak samo z Białorusią. Pozostało więc jedynie Królestwo polskie, Litwa i Żmudź, gdzie trzymało się powstanie, jeżeli nie w nadziei zwycięstwa, to przynajmniej dla zmuszenia Europy do zajęcia się sprawą Polski, tak upornie dobijającej się o swoje prawa.

W maju rząd rosyjski postanowił spróbować nowego środka dla położenia kresu powstaniu. Ogłoszoną została amnestya dla tych, którzy broń złożą w Królestwie, nie mówiąc o Litwie. Prawa dane Królestwu miały być zachowane. Krok ten nie odniósł skutku, przeciwnie tłumaczono go sobie na korzyść powstania, wnosząc, że wywołało go zagrożenie interwencyą przez zachodnie mocarstwa. Pojedynczy powstańcy, schwytni z bronią w rękę, korzystali z amnestyi, gdyż tłumacząc się, że szli właśnie do władz wojskowych, aby im broń złożyć, byli wolno puszczani dla wzbudzenia zaufania w szczerłość intencji rządu, lecz przy sposobności znów łączyli się z oddziałami partyzanckimi.

Dotąd nie miałem udziału w powstaniu, a raczej taki tylko, jaki miał każdy z właścicieli ziemskich, t. j. dostarczanie żywności, koni, pieniędzy i przesyłanie wiadomości. Powstanie zastało mnie niewtajemniczonego w spisek; jak większa część właścicieli ziemskich podzielałem opinię »Dyrekeyi«, t. j. władzy stronnictwa umiarkowanego i byłem przeciwny wybuchowi. Długo nawet nie widziałem w mym domu liczniejszego oddziału powstańców, aż dopiero przed Wielkanocą trafili oni do mego ustronia. Bawił wtenczas u mnie ś. p. mój ojciec i był cierpiący, gdy przed ganek zajechało kilku jeźdźców. Był to Lewandowski, emigrant, niegdyś wojskowo służący w roku 1848 na Węgrzech, potem oficer belgijski. Wszedłszy do domu, oznajmił mi, że oddział jego nadchodzi i polecił przygotować dlań żywność. Pamiętam dobrze mój kłopot, czem nakarmić 300 ludzi, a zwłaszcza w czem strawę dla nich przyrządzić. Kazałem zabić krowę, nadeszły obozowe kotły, i powstańcy sami poczęli gotować krupnik. Dzień był slotny, wszystko kryło się pod dachy. Szezupły mój domek zaledwie naczelnika i jego przybocznych pomieścił, inni stali w oborze, stajni, stodole i nieskończonym, zaledwie pod dachem, domu folwarcznym, w którym pozakładali ogniska, ciągle na dworze gasnące. — Uzbrojenie składało się z małej liczby karabinów, reszta w polowie miała strzelby myśliwskie, w polowie zaś kosy. Nad

wieczorem dano znać, że słyhać strzały armatnie w stronie północnej. Lewandowski kazał swoim być w pogotowiu i wysłał rekonesans. W godzinę lub dwie zjawilo się kilkunastu konnych z oddziału Lelewela, który miał spotkanie pod Jedlanką o dwie mile i cofał się w tę stronę. Jezdni ci, jak mówili, zostali odcięci, a zapewne uciekli. W parę godzin nadszedł oddział konny Zakrzewskiego, do 100 koni liczący, z wiadomością, że nieprzyjaciel nocuje o półtora mili w Sosnowicy. Postanowiono go zaatakować w nocy. Kilkudziesięciu strzelców na furmankach oraz ze 100 konnych ruszyło do Sosnowicy w deszcz i po ogromnem błocie. Była tam strzelanina, strach wielki dla żydów tamże mieszkających, zabito przytem jednego czy dwóch żołnierzy rosyjskich i powrócono do mnie po północy. Nazajutrz oddział wyruszył ku Włodawie, ja zaś w obawie, aby ścigające go wojsko nie miało do mnie pretensyi o przyjęcie powstańców, a mając przytem ojca cierpiącego i znużonego całonocnym niesnem i niepokojem, postanowiłem odwieźć go do Lublina, gdzie miał mieszkanie. Już dla nas zaprzęgano, kiedyśmy spostrzegli tłum ludzi, ciągnący ku wsi Woli Wereszczyńskiej; byłem pewny, że to pogoń rosyjska, okazało się, że był to oddział Lelewela, który wcale do mnie nie wstąpił. Od niego dowiedziałem się, że wojsko nocujące w Sosnowicy wróciło do Kurowa, skąd było przyszło. Lelewel zwał się właściwie Borelowski i przybrał sobie jedynie nazwę swego krewnego, słynnego historyka, lecz bardzo wątpliwych zdolności męża stanu, nazwę wielce oryginalną dla partyzanta.

Takie było pierwsze moje spotkanie z powstańcami.

Powiedziałem wyżej, że z początku aż do wybuchu powstania nie miałem żadnego udziału w ruchu, położenie moje jednak stawało się coraz drażliwszem. Nikt nie zniesie, aby go posądzano o obawę; przytem zostającym w domu, zwłaszcza młodym, narzucano prawie gwałtem urzędy w organizacyi powstańczej, które wydawały mi się daleko przykrzejszymi a mniej odpowiednimi dla mnie, niż służenie otwarte w wojsku powstańczem. Nie mając wiary w pomyślny skutek

powstania, wolałem przyjąć w niem udział, nie zaś jako organizator, zaciągać, namawiać i narażać innych. Zupełnie nieczynnym niepodobna było zostać, nie pozwalało mi na to zresztą przekonanie. Według mnie, czas rozprawiania minął z dniem wybuchu; czy powstanie było silne, czy słabe, obowiązkiem każdego Polaka było popierać je. Przychodziło mi na myśl prawo Ateńczyków, że w czasie rozpraw nad projektem lub rozpadnięcia się kraju na stronnictwa, żadnemu obywatelowi nie wolno było zostać neutralnym. Roztrząsając moje sumienie i moje obowiązki, znajdowałem wiele pobudek, aby przerwać moją bezczynność. Zresztą uczucie miłości kraju, wlane mi przez rodziców, kazało mi uważać możliwość walczenia za ojczyznę jako wielkie szczęście, którego nie chwycić byłoby niegodnym. Tak więc urządziwszy, jak było można, moje interesa, dnia 15. czerwca 1863 r. zaciągnąłem się w szeregi powstańców.

Blisko pięć miesięcy trwające powstanie obaliło opinię, jakoby nie można o własnych siłach trzymać się dłużej jak parę tygodni. Wprawdzie nie postąpiliśmy ani o krok dalej, nie oczyściliśmy ani kawalka kraju z nieprzyjaciela, ale też i nieprzyjaciel, jak dotąd, nie potrafił nigdzie zniszczyć organizacji powstańczej, ani wyprzeć zbrojnych oddziałów. Trudno było przypuszczać, abyśmy mogli zmusić nieprzyjaciela do opuszczenia kraju, można było jednak mieć nadzieję, że i powstanie zgnieść się nie da; a ponieważ stan taki wiecznie trwać nie może, przeto dwory zagraniczne będą musiały energiczniej wystąpić, aby mu koniec położyć i choć w części zadowolnić Polaków. Takie było moje ówczesne rozumowanie.

W nocy z dnia 14. na 15. czerwca wyjechałem z domu, wiedząc, że oddział Krysińskiego obozuje w Tyśmienicy. Rosyanie byli niedaleko, trzeba więc było ostrożność zachować, aby się dostać do oddziału. Chcąc być rzeczywistą lubo małą pomocą oddziałowi, do którego wejść postanowiłem, wystarałem się o jaką taką broń, tej bowiem więcej brakowało niż ludzi do noszenia jej. Porządnych strzelb myśliwskich nie można było zupełnie dostać, wszystkie były w powstaniu; kara-



biny, jakie przychodziły z zagranicy, dostawiano wprost do oddziałów; ledwo więc u myśliwych kolonistów udało mi się kupić trzy pojedynki, stare ale bardzo długie, z grubemi lufami, widocznie przerobione ze starych karabinów i bijące kulą na przeszło 200 kroków. Do tych strzelb kazałem dorobić bagnety i uzbrojony w jedną z nich oraz w rewolwer, który miałem w ukryciu oddawna, w towarzystwie strzelca mojego Franciszka, który już dawno miał ochotę spróbować życia wojskowego, a teraz wziął drugą strzelbę i kindżał, zabrawszy trzecią została, wyruszyliśmy do Tyśmienicy bryczką. Byliśmy za trzeni w proch i pistony, lubo w niewielkiej ilości, kul które były rzeczą ważną, bo nie łatwo było dobrać je do libru naszych staroświeckich rusznic, mieliśmy tegi worek. Przytem w mantelzakach, umyślnie na ten cel sprawionych i zdatnych do noszenia na plecach, było trochę bielizny i wiele proszku perskiego. Ubrani byliśmy w sukmanki z grubego siwego sukna z zielonymi kołnierzami i wypustkami, czapki rogate z daszkiem, zielone, i długie buty, to jest podług formy przyjętej przez strzelców Krysińskiego. Pod sukmankami mieliśmy bluzy z szarego płótna, nader potrzebne przy spodziewanych upałach. Po długich manewrach, aby ominąć nieprzyjaciela, o świcie dostaliśmy się do Tyśmienicy, gdzie przez Krysińskiego zapisany zostałem wraz z moim towarzyszem Franciszkiem, jako szeregowiec trzeciej sekcji strzelców. Cały oddział liczył wtedy nie więcej jak 170 do 180 strzelców pod dowództwem byłego oficera strzelców rosyjskich, Milkowskiego, taką samą liczbę kosynierów pod dowództwem Etnera, byłego emigranta, który miał udział w powstaniu znanym 1848 roku. Szefem sztabu był Zebrowski, b. oficer artylerji rosyjskiej, a sekcją moją dowodził podoficer Bartoszewicz, b. wojskowy pruski. Prócz tego było około 50 jazdy, czyli 2 plutony, dowodzone przez Borowskiego, b. junkra ułanów rosyjskich i przez Kamińskiego, mieszczanina z Mohobód.

Widywałem już powstańców i miałem pewne pojęcie o organizacyi oddziałów; wszedłszy w skład jednego z nich,



że lepiejby pieniądze wydane na rzeczy zbytkowne obrócił na inne potrzeby kraju?

Oprócz wiktuałów niezbędnych reszta powinna być zostawioną osobistemu uznaniu, gościnności i zamożności gospodarza. Najwięcej wymagającymi w tych rzeczach byli ludzie, zajmujący dawniej bardzo niskie stanowiska. Pamiętam jednego, który niezmiernie się gniewał, gdy mu podano barszcz i zrazy z kaszą, później dowiedziałem się, że to był lokaj.

Zaciągając się w szeregi powstańców, postanowilem kolegować z nimi, jak żołnierz z towarzyszami broni, nie chodzić na sztabowe obiady, jeść to, co jedzą wszyscy, sypiać ze wszystkimi i pełnić na równi z innymi nowe obowiązki. Później rad byłem bardzo z tego postanowienia, a wdzięczność tych prostych ludzi zato, że nie unikam ich towarzystwa, była mi dostatecznem wynagrodzeniem za stracone smaczniejsze obiady i wygodniejsze noclegi. Przekonałem się dowodnie, o ile większy wpływ mieć można na nich, dzieląc ich trudy i niewygody, i o ile one lżejszemi się stają, gdy są ponoszone wspólnie. Prawda, że nie każdy może miał tak zdrową i silną mimo wątłego pozoru budowę.

Prawie zaraz po mem przybyciu do Tyśmienicy otrzymaliśmy rozkaz wymaszerowania ku Siemieniowi. Oddział Krysińskiego był ścigany i otaczany od pewnego czasu i tylko forsownym marszom winien był dotąd swoje ocalenie. W Piemieniu, po posiłku dano znać o zbliżaniu się nieprzyjaciela, opuściliśmy więc to miejsce i dla większego pospiechu, aby wyjść z otaczającego nas koła, w jakiejś wsi cała piechota siadła na furmanki. Zmieniliśmy furmanki w Plancie i stanęli na noc w Zeliźnie. Podwozy zatrzymaliśmy i nazajutrz przededniem ruszyliśmy drogą ku Białej, idącą przez kilkumilowe lasy. Należało przejść niedaleko Białej, gdzie także stał oddział nieprzyjacielski i przerzucić się na północną stronę brzeskiego traktu bitego. Posuwaliśmy się wolno po drodze rozmięklej od ciągłych deszczów, wąskiej i krętej; znużeni ludzie drzemali na podwodach, słońce zaledwie zeszło, gdy awangarda nasza

dała ognia. Linia nasza, długa, rozciągnięta, przerwana nawet wskutek zagrzechnięcia jednej z furmanek, której inne ominąć nie mogły, ludzie niewyspani i znużeni, wszystko to było powodem, że oddział nie prędko się uszykował i że jedynie śmietanka jego, że tak powiem, stanęła do bitwy. Pokazało się, że wojsko z Białej, uwiadomione widać o naszym pochodzie, zrobiło na nas zasadzkę; gdyby nie straż przednia, która najechała na nieprzyjaciela i strzałem nas ostrzegła, bylibyśmy śpiący wpadli w pułapkę. Rozstawivszy się już pod ogniem nieprzyjaciela, poczęliśmy się odstrzeliwać.

Środkiem nas szła droga, po niej puścili się cwałem kozacy, za nimi rzuciła się piechota; furmanki nasze poczęły uciekać i zrobił się zamęt zupełny. Trzeba było cofać się, odwrót wkrótce zamienił się w ucieczkę, chciałem się dostać w tę stronę, gdzie widziałem naczelnika, lecz było już zapóźno. Zresztą przyznaję się, że pierwsza moja próba ogniowa zrobiła na mnie silne wrażenie, uciekałem po krzakach, zewsząd grzmiał huk wystrzałów, kule świstały i ścinały gałązki w zaroślach; coraz to nowe hufce Rosyan wypadaly z gęstwiny i z okrzykiem na naszą gromadkę się rzucaly; kozacy uwijali się wszędzie. Nareszcie po półgodzinnej chyba ucieczce, nasz podoficer Bartoszewicz, ja i Franciszek znaleźliśmy się w gęstych zaroślach; strzałów już slychać nie było, lecz należało coś począć, aby połączyć się z oddziałem. Zaczęliśmy więc iść w jednym, już nie pomnę, w jakim kierunku, lecz lasy białskie mają wzdłuż i w szerz mil kilka, po paru więc godzinach niezmiernie strudzeni i głodni, postanowiliśmy spocząć, aby na wypadek zachować siły. Wybraliśmy więc miejsce po temu, to jest dół zarośnięty nieprzejrzanym gąszczem loziny, i tam położyli się wygodnie. Spaliśmy w ten sposób z parę godzin, gdy podoficer tracił mnie, dając znak milczenia, uslyszalem stapanie koni i głosy ludzkie, a za chwilę rozpoznałem mowę rosyjską. Po przejściu tego oddziału, w jakie pół godziny ruszyliśmy dalej w tym samym, co poprzednio, kierunku. Po godzinie drogi spostrzegliśmy, że las przerzedza się, niebawem

ukazało się pole. Już chcieliśmy wyjść na nie, aby się zorientować, gdy doszedł nas głos trąbki, a wsłuchawszy się poznaliśmy rosyjskie sygnały, a więc polowanie na rozbitków jeszcze nie ustało. Trzeba było zmienić kierunek i brzegiem lasu opuścić to miejsce. Znów godzina drogi, aż nareszcie ukazała się nam wioska, lecz pytanie, czy nie zajęta przez nieprzyjaciela. Pociągnęliśmy węzłki, kto z nas pójdzie przekonać się o tem, los wyznaczył Bartoszewicza. Rowami, ogrodami dostał się do jednej z chat i wkrótce nkazał się nam w towarzystwie kilku ludzi, nawołując nas. Wyszliśmy z ukrycia, była to wieś Leszczanka, a w niej ośmiu naszych, między którymi chorąży ze swym sztandarem, schowanym pod ubranie. Posiliwszy się, złożyliśmy radę wojenną, z której wypadło, że Krysiński poszedł pewno na Dolhę, była to bowiem zwykła jego droga, gdy chciał przejść brzeską szosę. Udaliśmy się więc w tym kierunku, a w Danówce przypuszczenie nasze zyskało na prawdopodobieństwie, gdyż widziano powstańców, idących w stronę Dolhy. Wieczorem skończyły się nasze udrczenia, dogualiliśmy Krysińskiego, mającego w Dolhy około dwieście ludzi, reszta oddziału była w rozsypce. Tego samego dnia jeszcze przeszliśmy szosę i stanęli w nocy w Działkowskich, a nazajutrz poszliśmy w Łosickie i ukryli się w lesie zwanym Florya, czekając, by nieprzyjaciel ustął nieco w swych poszukiwaniach. W parę dni ruszyliśmy stamtąd, przeszedłszy blisko Międzyrzecza, doszli do Szaniaw pod Łukowem, a stamtąd po nad Wieprzem i Tyśmienicą ku lasom Parczewskim, gdzie według wiadomości miał się ukrywać Etner z częścią naszego oddziału. Jakoż połączyliśmy się z nim w tych lasach i po obrachunku pokazało się, że kilku zginęło, kilku dostało się w ręce nieprzyjaciela, reszta była obecna.

Lasy Parczewskie są bardzo rozległe i często bywały nawidzane przez powstańców, a szczególnie dwa miejsca były ich zwykłym siedliskiem. Jednym z nich był młynek Prokop, położony tam, gdzie te bory dotykają wielkiego stawu Buradowskiego, otoczonego szerokimi trzęsawiskami i łączącego

się z jeszcze większym, bo 1.200 morgów mającym stawem siemińskim; drugim zaś miejscem była tak zwana Altana, i tu właśnie stanęliśmy. Był to wśród lasów plac odkryty, około 30 morgów mieć mogący, na brzegach którego znaleźliśmy namioty, przez Etnera na nasze przybycie z gałęzi urządzone. Niedaleko było piękne źródło bardzo smacznej wody, uważane nawet za cudowne; kiedyś była tam podobno chatka pustelnika, ja jednak nie zastałem nic więcej jak źródło porządnie oczyszczony, na dnie którego ustawiony był garnuszek pomiedzy kilku kamieniami, a w garnuszku kilka sztuk drobnej monety; była to jałmużna dla nieznanego ubogiego, który tu przybędzie. Skarb ten przez czas naszego pobytu znakomicie się powiększył. Pobyt w Altanie był jedną z przyjemniejszych chwil, jakie miałem podczas powstania; nie stojąc bowiem we wsi, żyliśmy wszyscy razem i familijnie, czas przytem był pięknym. W dzień na otwartym placu odbywały się musztry, wieczorem brzegi lasu oświetlały się ogniskami, przy których nasi gawędzili i śpiewali; chóry te liczne i wcale dobrze dobrane w ciszy wieczornej mile sprawiały wrażenie. Przed udaniem się na spoczynek odśpiewywaliśmy *Wszystkie naszeienne sprawy*, a później już tylko tentent koni, zmieniających się na placówkach, przerywał nocną ciszę; nazajutrz wschodzące słońce witaliśmy pieśnią *Kiedy ranne wstają zorze*. Tego spokojnego życia nie maćcił nam nieprzyjaciel. Zapewne wiadano w oddziałach rosyjskich o naszym pobyćcie, lecz wyprawy w tak obszerne lasy nie przedsiębrano nigdy pojedynczym oddziałem, to bowiem do niczego nie prowadziło. Powstańcy, ukryci w lesie, jeżeli się czuli na sile, mogli zadać kłeskę, a w przeciwnym razie bardzo łatwo uniknąć spotkania. Zapewne więc i wtenczas komendy nieprzyjacielskie układały się o jednoczesne wkroczenie różnymi punktami w lasy Parczewskie.

Nareszcie monotonne życie nasze urozmaicone zostało przybyciem około 20 jezdnych z komendy Lelewela; donieśli nam o kłesce pod Różą, w Lukowskiem, oraz że Lelewel ze szczątkami oddziału z nami się połączy; jakoż nazajutrz przy-

jechał do nas sam bryczka. Był to człowiek średniego wieku i wzrostu, śniady, służył niegdyś jako ochotnik w wojsku węgierskiem podczas wojny o niepodległość. Oświadczył Krysińskiemu, iż resztki jego oddziału pod dowództwem Bardet'a ciągną ku nam i będą wcielone do naszej kómendy, sam zaś jedzie do Galicyi, aby tam uzbroić nowy oddział i wkroczyć z nim do kraju.

Nazajutrz opuścił nas rano a przed wieczorem nadciągnął Bardet na czele około 150 strzelców, 50 kosynierów i 30 koni, tak więc oddział nasz został wzmocniony. Bardet, który odtąd wiernie aż do końca powstania nam towarzyszył, był to człowiek już niemłody lecz czerstwy i silny, cokolwiek awanturniczego i hulaszczego usposobienia, lecz dobry żołnierz; rodem Szwajcar, służył w legionie szwajcarskim na żołdzie króla neapolitańskiego, później zaś był guwernerem w polskim domu. Bracia jego mają w Warszawie znaną firmę ogrodniczą.

Niedługo po tem zwiększeniu naszego oddziału, wyszliśmy z naszego dotychczasowego stanowiska i posunęli się na brzeg lasu ku Parczewowi. Nieprzyjaciel stał w tem miasteczku. Jazda nasza zaniepokoiła go i chciała wywabić ku lasom, obsadzonym naszą piechotą, usiłowania te jednak speszły na niczem, było tylko trochę strzałów w mieście i koło miasta, staliśmy rozsypani w tyralierkę, za nami, jako rezerwa, kosynierzy ukryci w lesie. Nareszcie jazda nasza wróciła donosząc, że nieprzyjaciel oddalił się w stronę Radzyna. Wyszliśmy do Parczewa na spoczynek i posiłek. Zanim krupnik ugotował się w kotłach, wyprawilem kolegom strzelcom mojej sekeyi wspaniałe śniadanie *à la fourchette*, składające się z wódki, bułek żydowskich, śledzi, sera niby szwajcarskiego, piwa i cygar. Dla nas, leśnych ludzi, śniadanie w takiej brudnej mieście robiło wrażenie, jakiegobym doznał dziś wchodząc do pierwszorzędnej warszawskiej restauracyi.

Manewrowaliśmy tak jeszcze parę tygodni w powiecie włodawskim, aż koło połowy lipca, stojąc w Kapłonosach, otrzymaliśmy wiadomość, że nieprzyjaciel w sile czterech rot

zbliża się ku nam od Włodawy. Opuściliśmy folwark i posu-  
nęli się ku lasom niedaleko Wiryk. Gdyśmy przechodzili koło  
słynnej w tamtej okolicy dystylarni wódek hr. Zamoyskich  
w Suchawie, gospodarz tego zakładu, Szymański, znany w tych  
stronach ze swego olbrzymiego nosa, gościnnie wyniósł co  
mógł na drogę; nie trzeba było długo prosić, pili wszyscy,  
a większa część zanadto, cały więc prawie nasz oddział był,  
jak to mówią, pod dobrą datą. Stanąwszy więc na brzegu lasu  
niedaleko Wiryk i postawiwszy broń w kozły, zasiedliśmy  
na spoczynek, a prawie wszyscy strudzeni i rozmarzeni trun-  
kiem usnęli.

Krysiński postanowił przyjąć w tem miejscu bitwę, je-  
żeli nieprzyjaciel szukać jej będzie.

Po godzinie oczekiwania zbudził mnie strzał naszej pi-  
kiety i strzały zaczęły się powtarzać, zamieniane pomiędzy na-  
szą jazdą a kozakami. Lecz nie wszyscy zbudzili się lekko,  
wielu, większa nawet może część spała silnie wskutek gościno-  
ści pana dystylatora. Oficerowie przebiegali szeregi i z po-  
mocą nieśpiących budzili, lecz każdego trzeba było szarpać,  
zanim oczy otworzył. Wtenczas zastosowałem do kilku zawzię-  
tych śpiochów szczególny i nowy sposób budzenia, który mi  
blisko leżące mrowiska na myśl nasunęły; brałem wystraszone  
mrówki garściami i pakowałem śpiącym za kołnierz, inni za-  
częli mnie naśladować, śmiech ogólny nawet tych, którzy byli  
ofiarami żartu, przyjął nasze usiłowania i wkrótce wszyscy byli  
na nogach, wytrząsając, jak można, gryzącego nieprzyjaciela.

Uszykowaliśmy się brzegiem lasu, przed naszymi oczyma  
jazda nasza ucierała się z kozakami, to ich podprowadzając  
pod nasze strzały, to chwilowo ścigając. Za kozakami pokazy-  
wali się dragoni. Piechota nieprzyjacielska starała się parę razy  
ruchem skrzydłowym wejść do lasu po za naszymi stanow-  
skami, aby nas wyprzeć na pole, lecz te zamiary nie mogły się  
przed nami ukryć, więc stosownie do nich zmienialiśmy pozy-  
cję, aby wstęp do lasu zagrozić. Wreszcie oddział dragonów,  
50—60 koni liczący, obszedł nasze prawe skrzydło i zdążył do

lasu w punkcie, gdzie stali kosynierzy. Grundman, który nimi dowodził, po obróceniu Etnera do innych celów, zebrał szybko swój oddział na brzegu lasu i sformował go w karabatalion. Dragoni rozwinęli się przed nimi i ruszyli galopem naprzód. Wewnątrz karabatalionu kosynierskiego było kilku oficerów z bronią palną, ci więc na bliską metę dali ognia i ranili paru dragonów; kosynierzy zaś dotrzyмали placu i kolumna najeżona kosami nie została rozbita, a za nadejściem kilkunastu naszych strzelców, dragoni zaniechali ponowienia ataku.

Na tej próbie zakończyły się ruchy tego dnia. Wojsko oddaliło się przed nadejściem nocy, a my, którzy po każdym spotkaniu musieliśmy zmieniać stanowisko z obawy, aby na głos strzałów nie nadeszły nieprzyjacielowi posiłki, cofnęliśmy się w głąb lasu i rozłożyli się na spoczynek.

W tej utarczce towarzyszył nam pewien szwajcarski pułkownik, opatrzony swymi papierami, który od pewnego czasu przez ciekawość wędrował po kraju i bywał w oddziałach obu stron walczących. Przez matkę był on w połowie Anglikiem, a wychowany w Anglii, miał też prawdziwie brytańską manię turysty; podczas utarczki, choć kule świstały mu koło uszu, zajęty był rysowaniem. Kilka dni jeszcze u nas zabawił; był to człowiek przyjemny, łatwego obejścia i wykształcony; rysował dobrze i w tece swej miał portrety wielu wybitniejszych ludzi z naszych ówczesnych stosunków. Nie pamiętam już nazwiska jego.

Jedną ze szczególnych postaci w naszym oddziale był Lerbas, czyli, jak kazal się nazywać, kapitan de Lerbas. Jakiego był pochodzenia, nie wiem; wyglądał na żyda. Utrzymywał, że służył w wojsku polskim podczas wojny 1831 r., wiek jego czynił to prawdopodobnem. Czynnością jego było dowództwo nad furgonami naszego oddziału i zarząd gospodarski w obozie. Pijak w całym znaczeniu tego wyrazu, miał on jednak pewien rodzaj talentu jako dowódzca pociągów. Przez cały czas jego służby nigdy nie udało się nieprzyjacielowi pochwycić ani jednego z wozów, których miał cztery naładowane

amunicją, ubraniem, żywnością, narzędziami kowalskimi i t. p. Często przed bitwą Terbas otrzymywał rozkaz oddalić się na nasze tyły, aby nie być pochwyconym; często był ścigany przez kozaków, mających daleko większą chętkę na niego jak na samych powstańców, zawsze, po najgorszych drogach, lub zupełnie bez drogi, zdołał ująć i ocalić swoją komendę, która była znakomicie wyćwiczona. Każdy sygnał jego świstawki rozumiały nawet konie, i stosownie do tonu, ruszały galopem, zwracały, stawały frontem obok lub wóz za wozem.

Człowiek ten stanowił komiczną stronę naszego oddziału. Na małym lecz dzielnym koniku, uzbrojony w szablę, parę pistoletów, kindżał i cenną dubeltówkę, słowem, jak arsenał chodzący, poprzedzał on swe cztery wozy, zaprzężone każdy w trzy dzielne konie, środkowy w hołoblach, boczne na przyprzążkach, aby w razie zabicia lub ranienia każdy z dwóch przyprzążkowych mógł być pędkiem odciętym. Staczał nawet małe potyczki. Oprócz furmanów znajdowali się na wozach dwaj kowale, rusznikarz, kucharz, oraz w przecięciu kilku chorych, lekko rannych lub z poranionemi od marszów nogami; wszyscy więc podczas najszybszej jazdy utrzymywali ogień przeciw ścigającemu nieprzyjacielowi. Były wypadki, że ginęli na wozach lub otrzymywali rany, że koń padł, ugodzony kulą; nigdy jednak, powtarzam, furgony nasze nie dostały się w ręce nieprzyjaciela.

Po opisanych poprzednio wypadkach obracaliśmy się w tej okolicy przez kilka dni, i w tym czasie połączył się z nami kuzyn mój, Zdzisław Dmochowski, któremu Kruk, mianowany przez rząd narodowy dowódcą sił zbrojnych województw Podlaskiego i Lubelskiego, polecił uformowanie oddziału jazdy. Przybył on do nas w kilkanaście koni, nie mogąc ze swym szczupłym poczem utrzymać się nigdzie.

Po kilku dniach stanęliśmy w Romanowie i zastali tam oddziały Zielińskiego i Jankowskiego, z którymi już przedtem raz spotkaliśmy się w Uścimowie, niedaleko lasów Parczewskich. Tym razem nie było to przypadkowe. Nieprzyjacielskie

oddziały otaczały nas; naczelnicy więc, którym udało się połączyć, chcieli uderzyć w jednym punkcie na ściskające ich koło i przerwać je. Dotąd nie byłem, można powiedzieć, w bitwie, bo ucieczka w lasach Białskich, strzelanina pod Parczewem i Wrykami nie mogły się za bitwy liczyć; teraz jednak czuć było w powietrzu zbliżającą się twardszą rozprawę. Podjazdy wciąż wyjeżdżały i wracały, naczelnicy otrzymywali mnóstwo prywatnych wiadomości, kuryerki gonily jedna za drugą. Między innymi przyszła wiadomość, że za Bugiem rząd kazał tworzyć milicję chłopską dla współdziałania z wojskiem przeciw polskiemu oddziałom. Oddział pierwszy takiej milicji stał w Domaczewie wraz z małą ilością wojska. Trzeba było przerwać tak niebezpieczną organizację, która gdyby się rozszerzyła, to jeżeli nie dla zbrojnych oddziałów, to dla agentów naszych i dostawców stałaby się niebezpieczną. Po naradzie Krysiński został wyznaczony do rozbicia tych zawiązków popolitego ruszenia, przeciw nam wymierzonego. Domaczew leży na prawym brzegu Buga, naprzeciw Sławatycz; z Romanowa mieliśmy tam półtora mili, i wyruszywszy wieczorem stanęliśmy w nocy w Sławatyczach. Byli między nami ludzie, dobrze znający położenie Domaczewa, prócz tego dodano nam przewodników. Od pewnego czasu nie było deszczów, Bug był płytki, we wskazanym miejscu przeszliśmy go w bród i w największej cichości stanęli pod samem miasteczkiem Domaczewem. Jazda nasza natychmiast obkoczyła miasteczko i zajęła drogi; my zaś podzieleni na kilka oddziałów, z dodanymi przewodnikami z różnych stron mieliśmy wejść do miasteczka. Moja sekcya, t. j. trzecia pierwszej kompanii strzelców, pod dowództwem podoficera Bartoszewicza, stanowiła jeden taki osobny oddziałek, koło trzydziestu ludzi liczący. Według instrukcyi szliśmy przez łąki i trzcinowe zarośla, potem przez miejskie ogrody, dwójkami, przeskakując przez rowy i drapiąc się przez płoty w największej cichości. Już byliśmy pod samymi budynkami, gdy Bartoszewicz ujrzał coś podobnego do żołnierza stojącego na pikiecie, a noc była dość ciemna. Skinął więc na pierwszą

dwójkę, t. j. Izbickiego, Litwina i mnie, i wskazał nam gestem, żeby się podczołgać i bez strzału tę wartę sprzątnąć. Zbliżywszy się poznałem, że to nie żołnierz lecz drogowszak, lecz w tej prawie chwili usłyszałem plusk wody i ciche wołanie mego towarzysza; Izbicki czołgając się wpadł w studzienkę trawą zarosłą; niewiele mu to musiało zrobić różnicy, bo i tak wszyscy byliśmy mokrzy co do nitki, gdyż przed chwilą przez Bug przechodziliśmy. Wyciągnawszy go ruszyliśmy dalej, gdy wtem Bartoszewicz przelażąc przez płot uderzył zamkiem karabina o kamień, strzał się rozległ i kula urwała mu palec u ręki. Wnet też dały się słyszeć głosy w miasteczku, a niebawem i strzały; już bez ostrożności biegliśmy naprzód i znaleźli się na szerokiej drodze. Tu uderzył nas zbliżający się tentent koni; z nastawioną bronią oczekiwaliśmy, gdy głos »naprzód« dał poznać, że to nasi. Weszliśmy do miasteczka i stanęli według wskazówki porucznika Milkowskiego przy tylnej ścianie szeregu domów od strony ogrodów. Do domów tych nasi z innych oddziałów strzelali, a z okien żywy ogień im odpowiadał. Milkowski zdał mi dowództwo po Bartoszewiczu, lecz dotąd byliśmy bezczynni, gdyż z naszej strony domy, w których bronił się nieprzyjaciel, nie miały okien, nie było więc celu strzelać do ścian, nie byliśmy również na ogień wystawieni. Po chwili jednak spostrzegłem, że z naszej strony właśnie znajdują się przy tych domach drabiny, za pomocą których wdrapaliśmy się na dach jednego z domów, zajętych przez nieprzyjaciela. Z tyczki, wyjętej od fasoli i z chustki zrobiłem chorągiew improwizowaną i zatknąłem ją na kominie, a wesoly okrzyk naszych ją powitał. Gonty wnet rozerwane zostały i znaleźliśmy się na strychu; strzały grzmiały pod nami. Po drabinie wpadamy do sieni, dwaj Rosyanie spostrzegają nas i dają ognia, lecz nikogo nie ranią, uciekają do izby i drzwi zatarasowują. Jednym każę drzwi wybijać a drugim pulap odrywać. Wdzieramy się wśród strzałów do izby jednej i drugiej; nieprzyjaciel cofa się do sąsiedniego domu z tym komunikującego i barykaduje wejście. Zapalamy światło, jedni

rozbijają barykadę, drudzy, będący na strychu, przez pułap próbują dostać się. Wtem dochodzi mnie woń gryzącego dymu, każę więc wybijać dziurę w gontowym dachu i widzę, że dom sąsiedni obejmuje płomienie. Ogień szerzy się szybko i już nasz dom dosięga, każę więc strych opuszczać i dołu jedynie pilnować, aby się nieprzyjaciel nie wyniósł. Przerażeni obłążeni żołnierze jedni wyskakują oknami i chcą próbować ucieczki, lecz padają lub schwytani poddają się, kilku jednakowoż stało się pastwą płomieni, a mianowicie ci, którzy ukrywając się w głębokie kryjówki nie spostrzegli pożaru aż wtenczas, kiedy już było zapóźno myśleć o ratunku. Walka ustała i nasi rzucili się do gaszenia ognia, który wkrótce został opanowany; powstał widocznie od strzałów. Dwa domy w znacznej części zostały spalone, żydzi wrzeszczeli i co mogli wynosili na ulicę, więc trzeba było czuwać, aby nasi nie dali się skusić i nie dopuścili kradzieży. Aby nie wywołać złego wrażenia, Krysiński zachęcił nas do składki na pogorzalców, która paręset rubli przyniosła, a potem rząd narodowy wypłacił jeszcze 10.000 złp. Straty nasze były dość znaczne w stosunku do małej ilości nieprzyjaciela, gdyż mieliśmy 18 zabitych i rannych. Pochodziło to stąd, że cały nasz oddział, około 600 ludzi liczący, zamiast kontentować się jedynie otoczeniem miasteczka, aby nie wypuścić nieprzyjaciela, wszedł do miasta i tłoczył się przy zdobywanych domach, łatwo więc każdy strzał rosyjski znajdował ofiarę w ściśnionym tłumie. Nieprzyjaciel pomimo słabych sił, bo żołnierzy było około pięćdziesięciu, bronił się uparcie, dopóki obrona była możliwa. Żywych wzięliśmy ośmiu czy dziewięciu, kilkunastu było zabitych i kilkunastu rannych; kilku zginęło w płomieniach, bo znaleźliśmy między kupami węgla i popiołu ich ślady, oraz popałane karabiny. Mieszczanie mówili, że dwóch czy trzech uciekło pod zasłoną ciemności. Kilku kozaków zdążyło uciec, zaś dwaj oficerowie, dowodzący tym oddziałem, byli na herbacie w sąsiednim dworze; usłyszawszy co się dzieje, nie mogli już wrócić do swych podkomendnych. Niewiem, jak się po-

tem przed swą władzą ze zmarnowania komendy tłumaczyli. Z tak zwanego opolczenia czyli milicyi, której było 150 do 200, którzy z początku przyjęli naszych koszyńców ogniem, zabitych i rannych było dwunastu; herszt, były wojskowy, został powieszony, kilku namawiających do zbrojenia się przeciw Polakom ukarano cielesnie, wszyscy inni, po poddaniu się i złożeniu poprzednio przysięgi, że walczyć przeciw nam nie będą, zostali puszczeni wolno. Popa uwolniono także i nie zważano na jego zaprosiny na herbatę, pomimo że sami milicyanci wyrzucali mu, że on ich głównie do wzięcia za broń namawiał. W zysku mieliśmy kilkadziesiąt karabinów i drugie tyle sztuk broni palnej różnego rodzaju, zabranej opolceńcom; żołnierzy wzięliśmy ze sobą i dopiero w kilka dni zostali puszczeni.

Po tej utarczce zostałem mianowany podoficerem trzeciej sekiyi strzelców, na miejsce rannego Bartoszewicza, które to stanowisko już przez ciąg bitwy, jako zastępca, zajmowałem.

Wróciliśmy natychmiast na lewy brzeg Bugu i w Sławatyczach stanęli na odpoczynek; przeprawa odbyła się, jak poprzednio, w bród, mieliśmy więc nową kąpiel. Tu u żydków posilaliśmy się czem było można; znalazła się szkaradna herbata, złe piwo, obrzydliwe wino i niezły miód, ten więc największy miał odbyć.

Wypoczynek nie mógł być długi, trzeba było szybko łączyć się z pozostawionymi w Romanowie Jankowskim i Zielińskim, gdyż lada chwila mogli być zaatakowani; ruszyliśmy więc do Sajówki i tam rozłożyli pod lasem. Tu znaleźliśmy, Lerbasa, którego kotły szumiały i wydawały przyjemną woń krupniku, a tymczasem Krysiński skomunikował się z naczelnikami w Romanowie; ci posunęli się ku nam i zajęli drugi kraniec lasu. Po krupniku nastąpiła drzemka, którą przerwał nam ostry głos świstawki. Oddział się uszykował, zdała dochodziło echo strzałów, Jankowski i Zieliński byli już zaatakowani. Ruszyliśmy żwawo lasem w kierunku ognia. Niedługo wpadł w nasze ręce jeden Rosyanin, który nie wiem poco się tu błakał; od niego dowiedzieliśmy się, że mamy przeciw so-

bie batalion z Lublina, pod dowództwem Szeltinga, który ma połączyć się z kilkoma rotami z Włodawy, a prócz tego była sotnia kozaków i dwa działa. Podczas gdy Szelting naciskał Jankowskiego i Zielińskiego, uderzyliśmy nań z boku i zmusili do cofania się; korzystając z tego nasi sprzymierzeńcy natarli silniej i zaczęło się posuwanie przez las i łączki leśne za ustępującym nieprzyjacielem. Armatni ogień nie wielką w lesie mógł nam zrobić szkodę, ale nieprzyjaciel miał wiele trudności w manewrowaniu po bagnistych łączkach i gęstwinach. Otrzymałem rozkaz poprzeć z moją sekeją atak kosynierów na oddział piechoty, zajmujący półko, położone wśród lasu; był to dla mnie pierwszy widok walki na białą broń. Położenie sprzyjało rzeczywiście użyciu kosa, półko bowiem było małe i kosynierzy mogli pod zasłoną lasu podejść na niewielką odległość, a pozostała przestrzeń do przebiegnięcia pod strzałami, jako niewielka, nie narażała nas na znaczne straty. Atak się powiódł; z początku osłanialiśmy naszym ogniem kosynierów, gdy zaś ci już zbliżyli się, uderzyliśmy wspólnie z nimi. Żołnierz bardzo nie lubił kosa, nie wiem czy to pochodziło z malej wprawy wojska rosyjskiego we walczeniu bagnetem, czy też trwożyła ich długość drzewca, pozwalająca kosynierowi dosięgać przeciwnika a nie być dosięgniętym, dość że nieprzyjaciel uległ w tem starciu; pole zostało zasłane poległymi i rannymi, reszta pierzchła pospiesznie.

Las gęsty i zarośla nie pozwoliły ani nam, ani nieprzyjacielowi utrzymać się w porządku, bitwa rozdzieliła się na kilka oddzielnych utarczek, oddziały potraciły komunikację między sobą. Po pewnym czasie znalazłem się z Krysińskim, Żebrowskim, Milkowskim i kilkudziesięciu strzelcami, tak z mojej jak i z innych sekeji. Kierowaliśmy ciągle ogień nasz na działo, które prażyło nas kartaczami. Ogień nasz był skuteczny, konie artyleryjskie padły i kanonierzy wszyscy prawie polegli, zastąpiono ich innymi żołnierzami i końmi kozaków. Nieprzyjaciel ciągle się cofał, widocznem było, że i z innych stron jest naciskany, zasłaniał jednak ciągle swą armatę, którą

mogliśmy byli łatwo zdobyć, lecz jak słusznie zauważył Żebrowski, oddawała nam ona wielkie usługi będąc w ręku nieprzyjaciela, który dla jej ocalenia musiał się trzymać miejsce więcej odkrytych, a nam przezto zostawiać możność podsuwania się poza drzewami i przez zarośla. Nie wysuwaliśmy się na odkryte miejsca, aby nie ujawnić naszej liczebnej słabości, lecz ciągle gęstwiną podchodząc raziliśmy niezbyt gęstym ale celnym ogniem. W jednym z takich ataków Milkowski, nasz dowódca strzelców, padł przy mym boku, mając nogę zgruchotaną kartaczem; trębacz nasz, były pocztilion, dostał kulą w rękę, w której trzymał trąbkę. Nie obeszło się i bez komicznej strony pomimo tragicznego nastroju: jeden z naszych, zaledwie dla dodania sobie animuszu wykrzyknął »niech żyje ojczyzna!«, gdy chwytając się za nogę, w którą ugodziła kula, dodał na zakończenie »a niech cię djabli wezmą razem z ojczyzną!«. Wtenczas pomimowolnie uśmiechnąłem się, lecz później nieraz przychodziło mi na myśl, że widocznie pierwszy okrzyk tego rannego nie miał być wysłuchanym przez Tego, w którego rękę spoczywają losy państw i narodów. Zmrok już zapadł, nigdzie nie strzelano, my ostatni wstrzymaliśmy ogień, zwycięstwo zostało przy nas, nieprzyjaciel wszędzie się cofnął. Znalazła się nareszcie część naszej jazdy, która wskazała nam, w jakim kierunku poszły tamte oddziały i reszta naszego. Udaliśmy się więc do Mazanówki już w nocy, lecz nie dogoniliśmy ich. Tu dowiedziałem się o śmierci mego kuzyna, Dmochowskiego, a nazajutrz widziałem jego ciało w Sapiehowie, którego przejeżdżaliśmy na furmankach, aby doścignąć naszych. Widocznem było, żeśmy się najdalej za nieprzyjacielem posuweli, może nawet uważano nas za straconych. Zresztą Jankowski miał zasadę, aby po każdej bitwie jak najdalej się przerwucić i uniknąć przez to nowej bitwy z przeważnemi siłami; zwykle bowiem nieprzyjacielskie oddziały z innych stron szły na wiadomość o potyczce.

W Wisznicach znaleźliśmy Majewskiego, byłego oficera rosyjskiego, będącego w oddziale Jankowskiego; leżał on tam

ranny. Jazda nasza już nam nie towarzyszyła; wysłał ją Krysiński dla wstrzymania naszego oddziału. Po wyjściu z Wisznie stanęliśmy pod lasem, koło jakiegoś młynka, upał był nieznośny, pozwolono więc połowie pójść do kąpieli, druga zaś z bronią w rękę stała w pogotowiu. Pierwsza połowa wykąpała się bez przeszkody, zaledwie jednak druga, w której i ja się znajdowałem weszła do wody, gdy pikietą dała znać, że zbrojny jakiś oddział szybko się ku nam zbliża. Nie było czasu do stracenia na ubieranie się, przeto w najkomiczniejszych stanęliśmy kostyumach. Ja miałem tylko buty, ładownicę i karabin, tak uszykowaliśmy się na brzegu lasu, pokazało się jednak, że to nasza jazda, która przyniosła nam wiadomość, że reszta naszego oddziału znajduje się o parę tylko wiorst. Wiadomość tę powitaliśmy wesołem »hurra!« i wkrótce cały oddział był znów połączony, brakowało tylko tych, którzy nas na drugi świat wyprzedzili. Jankowski i Zieliński pociągnęli dalej na północ. Cofnęli się oni rzeczywiście wcześniej od nas, gdyby jednak byli jeszcze jakiś czas nacierali na nieprzyjaciela, klęska jego byłaby zupełniejszą. Straty naszego oddziału wynosiły 30—40 zabitych i rannych. Sprzymierzeńcy nasi, zdaje się, nie więcej stracili. Nieprzyjaciel stracił w zabitych i rannych 9 oficerów i 120 przeszło szeregowych. Lubo Rosyanie zawsze starali się szybko sprzątać swych poległych i rannych, jednak udało nam się pozbierać kilkadziesiąt sztuk broni. Oddział idący na pomoc Szeltingowi z Włodawy, zmylił się widocznie w swej marszrucie, gdyż nie miał udziału w bitwie, zasłonił jednak rozbitków. Było kilką nominacyi, czyli raczej przedstawień do awansu przez naczelnika, między innymi zostałem przedstawiony na stopień podporucznika, z zachowaniem dowództwa trzeciej sekcji strzelców, którą jako podoficer dowodziłem. Przedstawienie było tem samem co nominacya, toteż kontent byłem, gdy trafił się wędrowny żydek i dostarczył nam wódki, wina, piwa, cygar i t. p., obleiliśmy więc wesoło moją nominacyę i kilku innych. Koledzy winszowali szczerze i żartując mówili, że za zabicie psa zostałem oficerem.

Powód tego był taki: przy końcu bitwy pod Sajówką, jakeśmy ją nazywali, lub pod Janówką, jak ją nazwał Jankowski, lub też pod Romanowem, jak ją nazwali Rosyanie, gdy już zaczynało być ciemno, strzały ustawały, a nieprzyjaciel cofnął się na znaczną odległość, jakiś zabłąkany, czy też wysłany z poleceniem kozak, ukazał się przed naszym frontem, pędząc w galopie przez łąkę, rowem; burta tuż obok niego biegł niewielki piesek. Pies i jeździec znajdowali się na jednej linii ocznej od nas, wskutek tego, iż jeden z nich będący na burcie był wyżej jak drugi na dnie rowu. Widząc, że kończę nabijać karabin, kapitan Żebrowski zawołał na mnie: nastaw wizer na 700 kroków! dałem ognia, i zamiast kozaka pies przewrócił koziołka. Stało się to w obliczu tak naszych, jak nieprzyjaciela, za moim padło jeszcze kilka strzałów i kozak zesunął się z konia. Śmiano się z tego wypadku, każdy jednak widział, że strzał nie był zły, kula, która przeszła psa, przejść musiała pod brzuchem koniowi; o siedmset kroków, w galopie, jest to dość trudne, zasługa należała się dobremu okomiarowi oficera artylerji, który nie omylił się wiele co do odległości. Przez kilka dni jeszcze chodziliśmy po Włodawskiem, aż doszła nas wiadomość o ukazaniu się w naszych stronach Kruka. Właściwe jego nazwisko było Heidenreich, wyszedł on świeżo z wojska rosyjskiego, gdzie miał rangę majora i był w sztabie głównym w Warszawie. Rząd narodowy mianował go naczelnym wodzem wszystkich oddziałów w Podlaskiem i Lubelskiem. Spotkaliśmy go nareszcie, staliśmy wtedy w Kaznowie, gdy dano znać o zbliżaniu się naczelnego wodza. Uszykowaliśmy się porządnie, a niezdługo ukazał się oddział jezdnych, towarzyszący Krukowi. Tenże był człowiekiem trzydziestokilkolletnim, średniego wzrostu, ujmującej powierzchowności. Orszak jego złożony z około stu koni, dobrze był okryty i uzbrojony, dowodził nim Deskur, mój sąsiad, którego jednak nie wiele znałem. Dnia tego przyjęcie skończyło się na zwykłym pozdrowieniu. Nazajutrz Kruk przejrzał cały nasz oddział, porozdawał nominacye, zatwierdzone przez rząd narodowy, mię-

dzy innymi i mnie wyraził zadowolenie rządu za bitwy Domaczewską i Sajowską, i powiedziawszy, że przez czas jakiś będzie dzielił nasze losy, poprowadził nas do Rozkopaczewa, już w Lubelskiem leżącego. Tu przybywali ciągle ajenci, kuryerki, wiadomości pelno, lecz nie wiedzieliśmy jakie. Nieprzyjaciel kręcił się blisko, dowodem czego było śmieszne zdarzenie, jakie miałem. Nocowałem z mymi strzelcami w rozkopaczewskiej stodole, nagle czuję przez sen, że coś ciężkiego na mnie upadło, ocknąłem się więc i schwyciłem twarz wasatą, która przemówiła po rosyjsku, a przy blasku księżyca, wchodzącym przez szczelinę, ujrzałem płaszcz żołnierski. Przebudzonemu ze snu wydało mi się, że jesteśmy napadnięci, krzyknąłem więc na swoich, lecz szyldwach uspokoił mnie, mówiąc, że patrol schwytał dwóch żołnierzy i tu ich wpakował; żołnierz ten był pijany, włóczył się po stodole i upadł na mnie.

W pierwszych, zdaje się, dniach sierpnia wyszliśmy z Rozkopaczewa i stanęli w lasach Łęczyńskich, koło smolarni zwanej Skarbina. Tu miały miejsce dwa niemile zdarzenia, jednym z nich było powieszenie jakiegoś szpiega, na którego rzeczywiście były dowody przekonywające; przyczem byłem świadkiem wyjątkowego zbydłecenia człowieka. Żona skazanego, który już tylko księdza oczekiwał, z początku prosiła za nim, później przyznała, że mąż jej był szpiegiem nieprzyjacielskim, a nareszcie udala się do Kruka, czy Krysińskiego, z prośbą, aby go kazał prędko powiesić, gdyż ona niema czasu, a chciałaby zabrać po nim buty i surdut. Drugi wypadek był taki: kazano nam opuścić nasze obozowisko, i wszedłszy w głąb lasu jak najciszej się zachować, podoficer jeden, były żołnierz rosyjski, począł klócić się i krzyczeć, na rozkaz oficera odpowiedział gburowato. Aby skarcić niesubordynację kazano go pochwycić, czego dokonano dopiero po zranieniu go bagnetem w czoło. Skazany na rozstrzelanie, wyprowadzony został na miejsce egzekucyi i sześciu żołnierzy dało doń ognia. Jakież było zdziwienie komenderującego, gdy w kilka sekund podniósł się krwią obłany i zawołał: »taki ja jeszcze będę bił Rosyan!«

Widać, że każdy z odkomenderowanych do rozstrzelania wolał, by ten czyn surowej sprawiedliwości odbył się bez jego udziału, gdyż lubo nie było między nimi zmywy, pięciu chybiło, a jeden tylko nie dzielający tych uczuć obsypał mu twarz śrótem. Niepodobna było dowiedzieć się, kto miał karabin śrótem nabity, a że nabój taki w broni gwintowanej bardzo słabo bije, więc nie ranił go śmiertelnie. Skazany został ulaskawiony i odesłany gdzieś na kurację. Odtąd już go nie widziałem więcej.

Spokojny pobyt nie trwał długo. Przeczowano bitwę. Oddział Rudzkiego przysunął się ku nam. Dochodziły wieści o szybkim zbliżaniu Wierzbickiego, który świeżo uzbrojony wszedł z Galicyi i zdążył w naszym kierunku, gdyż byliśmy zagrożeni przeważnymi siłami. Zaraz po przejściu granicy miał szczęśliwe spotkanie, poprzedzała go więc dobra opinia. Otrzymaliśmy również pomoc w kilkudziesięciu karabinach i szablach, oraz zapas ładunków z Galicyi. Nareszcie wyruszyliśmy rankiem z naszego obozowiska i uszedłszy milę, usłyszeli strzały. Wtem zjawiała się jedna z kuryerek, p. Piotrowiczowa, zwana przez powstańców Grubopiotrowiczowa, jako »pendent« do Białopiotrowicza, Litwina z lnianymi włosami, który służył u nas w strzelcach. Po kilku zamienionych z nią wyrazach Kruk zmienił nasz kierunek, uszliśmy pół mili, gdy przybycie kilku jezdnych znów nasz marsz zmieniło i zaczęliśmy postępować w poprzednio obranym kierunku. Nie wiedziałem co to znaczy, nie mówilem z żadnym z naczelników, postępowałem obok mej komendy, przestrzegając porządku w pochodzie, czulem bowiem, że chwila jest stanowczą. Nareszcie przybyli znów gońcy, stanęliśmy na krótki spoczynek i niedługo w dalszy pochód ruszyli. Niebawem usłyszeliśmy huk wystrzałów coraz wyraźniejszy. Wciąż dotąd szliśmy lasem Łęczyńskim, który jest obszerny, lecz poprzerzynany półkami i łąkami; na jednym z takich pólek spostrzegliśmy kilku kozaków, którzy dawszy ognia znikli, później znów kilka podobnych spotkań, bez żadnego skutku, nareszcie stanęliśmy na brzegu lasu. Ja-

zda Kruka i nasza uszykowały się na polu, my rozwinęli się w lesie łańcuchem tyralierskim, za nami kosynierzy w kolumnie, i ruszyliśmy frontem w stronę strzelców. Prawe skrzydło nasze, w którym była moja sekcja, wkrótce spotkało nieprzyjaciela i rozpoczęło ogień, lewe tymczasem nie miało udziału i strzelało wyłącznie do kozaków, włóczących się pod lasem. Strzelaliśmy do boku nieprzyjaciela bijącego się z Rudzkiem, cofającym się, wkrótce część pewna zwróciła się na nas. Coraz nowe kolumny nieprzyjacielskie przeciw nam występowały, zaczęliśmy się cofać, utrzymując jednak komunikację z Rudzkiem. Ogień ten trwał parę godzin, cofaliśmy się ciągle odstrzelując; ogień nieprzyjacielski był silny i podtrzymywany czterema działami, straty jednak nasze były nieznaczne, gdyż grube drzewa w tym wysokopiennym lesie były nam zasłoną. Wyszedszy z ognia zaszliśmy do Jagodny i tam posilili mlekiem u pachciarza i kolonistów, dalej przeszliśmy Zaluże i stanęli w lesie zawadowskim. Tu złączyła się z nami reszta oddziału Wierzbickiego, a nareszcie zjawił się Kruk. Teraz dopiero wszystko się wyjaśniło. Wierzbicki szybkim marszem chcąc się z nami połączyć, posunął do Kaniowoli i tam został przez nieprzyjaciela zaatakowany. Dążyliśmy mu na pomoc, uwiadomieni będąc o jego przybyciu, gdy p. Piotrowiczowa dała znać, że inny nieprzyjacielski oddział zachodzi z przeciwnej strony Wierzbickiemu; ruszyliśmy więc przeciw temu nowemu oddziałowi, lecz rekonesans wkrótce zapewnił Kruka, że żadnego innego oddziału nieprzyjacielskiego niema, a wszystkie siły skoncentrowane są przeciw Wierzbickiemu. Położenie było naglące, ruszyliśmy więc ku Kaniowoli, lecz było już zapóźno. Wierzbicki pobity i ranny, stracił ze sto ludzi ze swego pięknego oddziału, którego resztę zwyciężoną lecz z dobrą postawą i w porządku pozostałą, podziwiałem, gdy złączyła się z nami pod komendą Wagnera. Wtedy Kruk, dowiedziawszy się, że zapóźno iść na pomoc Wierzbickiemu, otrzymał wiadomość, że Rudzki już jej potrzebuje. Nowa więc zmiana kierunku, nowa strata czasu, a tymczasem Rudzki już

także poniósł klęskę, lubo nie tak wielką jak Wierzbicki; nasze przybycie dopomogło mu tylko do łatwiejszego wycofania się. Pani Piotrowiczowa o mało drogo nie przypłaciła fałszywej wiadomości, gdyż Kruk w pierwszym gniewie aresztował ją, i oddał mi pod straż i powiedział, że każe powiesić. Nie ona sama jednak była winna, złe leżało w tem, że naczelnicy nie skomunikowali się przed bitwą i dopiero w chwili boju szukać się musieli. Rudzki widocznie nie był dobrze poinformowany, gdzie jest Wierzbicki, skoro za późno przyszedł mu na pomoc, przyszliśmy, kiedy Wierzbicki zupełnie a Rudzki w części, byli rozbici. Jazda Kruka pierzeła aż do Orzechowa i nad wieczorem dopiero do nas powróciła. Słowem bitwa zupełnie nieudana, a jednak działając wspólnie i mając przeszło półtora tysiąca ludzi, mogliśmy się byli w dobrze zawczasu obranej pozycji skutecznie oprzeć nie liczącemu więcej nieprzyjacielowi.

Wagner objąwszy dowództwo po Wierzbickim poszedł w Lubelskie, Rudzki w lasy parczewskie. My zaś prawie nie ucierpiawszy zostaliśmy na miejscu, to jest pod Zawadówką. Nieprzyjaciel zaś wrócił do Lublina.

Tu zaszła zmiana w mem położeniu. Deskur, dowódzca jazdy Kruka, i Żebrowski, dowodzący naszą piechotą, otrzymali polecenie uformować nowy oddział, a do pomocy w tem pozwolono im wybrać kilku ludzi. Między innymi wybór padł na mnie. Bardzo nie w smak mi to poszło, bo nie lubilem wszelkich organizatorskich zajęć.

Deskur pojechał do Galicyi po broń. Żebrowski później także za nim podążył, jedni z podkomendnych mieli zbierać ludzi, ja broń, jaka się znajdzie u mieszkańców, którzy ją na polach bitew pozbiali. Przepędziłem więc parę tygodni w domu i okolicy, lecz przekonałem się o niepraktyczności powierzonego mi zadania. Ludzie woleli iść do istniejących już oddziałów, niż czekać bez broni w lesie na przywiezienie jej z Galicyi, lub zbieranie po okolicy. Broń, jaką znalazłem, musiałem ciągle z lasu do lasu przewozić z wielkim trudem,

bo powstańcy wykradali ją i spieszyli do innych oddziałów. Tymczasem doszła mnie wieść, że Kruk na czele oddziałów Krysińskiego i Lelewela pobił nieprzyjaciela pod Chrusliną. Postanowiłem wrócić do szeregów i przedstawić Krukowi bezcelowość takiego organizowania oddziałów, i puściłem się z początku swymi końmi, potem różnymi furmankami, od wsi do wsi w Lubelskie, dla spotkania z Krukiem. Po kilkudniowej wędrówce, będąc niedaleko Zyrzyna, usłyszałem strzały armatnie, a dowiedziawszy się, że w Zyrzynie stoją powstańcy, pojechałem do wsi. Tu zastałem z półtora tysiąca ludzi różnej broni, strzelców, kosynierów, jazdy, należących do oddziałów Krysińskiego, Wagnera, Lutyńskiego, Grzymały etc. w wielkim nieporządku, klóćących się o żywność, furaz i kwatery. Od znajomych dowiedziałem się, że Kruk kazał wybrać śmietankę ze wszystkich oddziałów, oddał im jakie były ładunki, i z tym wyborem ludzi i koni zrobił zasadzkę na kilka rot piechoty, mające przechodzić z Dębłina do Lublina. Pozostali w Zyrzynie mają polecenie czekać na koniec bitwy, która właśnie się toczy, i w każdym razie unikać starcia, gdyż mają zaledwie po parę nabojów.

Powiedziawszy, że natychmiast muszę się widzieć z Krukiem, zażądałem konia, szabli i rewolwern, gdyż inaczej trudno było puścić się, nie wiedząc, jak w tej chwili ważą się losy bitwy. Dano mi czego żądałem i ruszyłem. Strzały już nietylko armatnie ale i karabinowe słychać było coraz wyraźniej, lecz ani jednego marudera z naszych, ani jednego kozaka. Lasem podkradłem się blisko szosy, na której stała gromadka jeźdźców; dalej na szosie i w lesie wrzała bitwa. Rozpoznałem naszych i skoczyłem ku nim. Był to Kruk rozsyłający adjutantów z rozkazami. Nie było czasu tłumaczyć skąd się wziąłem, i po co, Kruk powiedział mi tylko: »bitwa już i tak trwa za długo, lada chwila wyglądam Rosyan z Kurowa, jedź pan natychmiast do Krysińskiego, niech odstępuje i idzie do Zyrzyna, innym naczelnikom posyłam taki sam rozkaz«. Za chwilę byłem przy Krysińskim, strzały umilkły, i straszny

widok mnie uderzył, tem straszniejszy, że nie mając udziału w bitwie, nie odczuwałem tego podniecenia i gorączki, jakie ona sprawia. Garstka piechoty rosyjskiej, czarna od dymu, stała ponuro, z bronią na dół spuszczoną; otoczona była dosłownie wysokim wałem ciał ludzkich po kilka jedno na drugim leżących. Konie artyleryjskie pobite, tarzały się we krwi z porwanymi zaprzęgami, jaszczyki wywrócone w rowie; powóz również z pobitymi końmi, w nim dwie bezprzytomne kobiety, jedna w wieku, druga młoda; na stopniu powozu, z szablą w rękę i rozplataną głową pułkownik, mąż tej młodszej, dowódzca oddziału; dalej żyd niezwywy ze strachu leżał na bryce kupieckiej, a konie spokojnie skubały trawę w rowie. W okolo zamęt, warta przy kasie, broniąca jej od rozdrapania, rozrywanie listów z pieniędzmi i mnóstwa strojów damskich, widocznie z Warszawy na Dęblin do Lublina przesyłanych upominków. Piękne szale, paltociki, kapelusze, kołnierzyki, pantofelki zalegały całą szerokość szosy. Nie łatwo było wykonać rozkaz Kruka i oderwać ludzi od rabunku, że jednak wszystko musi się skończyć, więc i nieład został w końcu opanowany; szczęściem, że przepowiednia Kruka o nieprzyjacielu z Kurowa nie sprawdziła się, bo popłoch byłby zupełny. Rezultat mniej więcej był taki: przeszło stu Rosyan złożyło broń, blisko trzystu leżało zabitych i rannych; kozacy w części uciekli, w części schwytni przez oddział Lutyńskiego, już wisieli, zanim Kruk się o nich dowiedział; dwie armaty, 400 karabinów, dużo amunicji, przeszło 200.000 rubli, prócz rozdrapanych, jakie się w listach znajdowały. Naszych również było z 50 zabitych i rannych. Nieszczęśliwe kobiety otrzymały pozwolenie wybrać sobie dwóch z pomiędzy jeńców, aby ich odwieźli do Kurowa, lub gdzie zechcą, w powozie zaprzężonym w cztery pozostałe żywe przy jaszczykach konie. Długo wahały się kogo wybrać, sądząc że pozostali będą na śmierć skazani, lecz Kruk potrafił je przekonać, że nie złego ich nie spotka, jakoż w parę dni zostali wolno puszczeni.

Przedstawiłem co miałem Krukowi i potrafiłem go przekonać. Polecił mi wracać, i wzięwszy co jest gotowego z ludzi i koni, łączyć się z Krysińskim. Kilka dni zajął mi powrót, bo trzeba było wymijać wojska, gromadzące się dla pomstczenia klęski, kilka dni również zeszło, nim zgromadziłem porozlokowywanych w różnych kątach powstańców; zanim więc wyruszyłem, rozeszła się wieść o klęsce pod Tajslawicami, wkrótce sprawdzona. Wszystkie prawie siły dwóch województw były zniesione, cała kompania strzelców, w której służyłem w pień wycięta, został z niej jeden tylko Ryttel, młody chłopiec, strasznie porąbany, który jednak wyleczył się. Naczelnicy schronili się do Galicyi, aby zbroić się na nowo. Nieprzyjaciel wziął do 600 jeńców. Nie było ani jednego oddziału, trzeba było siedzieć cicho, więc rozpuściłem moją komendę. Lerbas tylko jeden, który i tym razem ocalał, tulał się po lasach z kilkudziesięcioma ludźmi. Kozactwo ośmielone suło się na wszystkie strony, i dwa razy o mało nie stałem się ich pastwą.

Pierwszy raz zdaje mi się, iż nie wiadano, że miałem udział w powstaniu. Wyszędłszy na ganek mego domu ujrzałem kilku kozaków, którzy przebiegając zapytali mnie, kto popędził przez wieś konno. Tego widzieć nie mogłem, rozpatrzywszy się spostrzegłem na wzgórzu ku Woli Wereszczyńskiej kilkudziesięciu kozaków, a pomiędzy nimi oficerów. Chcąc uniknąć spotkania z nimi włożyłem płócienny surdut i słomiany kapelusz i wyszedłem w pole, jednak ku lasowi. Widziano mnie niezawodnie, lecz wyglądałem na gospodarza chodzącego koło robotników, i rzeczywiście była tam jakaś robotka. Szedłem krokiem niby to wolnym, aby nie dać poznać, że uciekam, lecz bardzo wyciągniętym, a gdy już minął robotników i zbliżał się ku lasowi, kilkanaście koni ruszyło w mym kierunku. Nie przyspieszając kroku doszedłem do lasu i tam dopiero dałem folgę chęci zmykania, za chwilę byłem w takich gąszczach bagnistych, że cała potęga Rosyi niczem mi się wydawała. Dotąd nie wiem czy wtenczas goniono za mną, aby mnie złowić.

Drugim razem jednak nie było już tej wątpliwości. Büchner, naczelnik rosyjskiego oddziału, stojącego w Łęczny, wysłał po mnie kilkudziesięciu kozaków wskutek denuncyacji. Szczęściem, Franciszek, mój towarzysz broni, ujrzał ich zdaleka i dał mi znać, zaczęliśmy uciekać, lecz położenie było trudne, nieprzyjaciel wyszedł z lasu, więc wyparł nas w pole, oni byli konno, my zaś piechotą, rowy jedynie chwilowo kryły nasz bieg przed okiem pogoni. Doznawałem wrażenia, jakiego ma zapewne zając, uciekający przed chartami. Upadający ze zmęczenia, bez tchu, dostaliśmy się do bagien zarosłych, pogoni była niepodobną, a kule które świstały wysoko nad naszymi głowami, już nam się niczem nie wydawały. Jeszcze kilkaset kroków a byłibyśmy schwytani. Zawiedzeni kozacy zemdleli się na mym domu i zabrali co się dało.

Coraz trudniej było zostawać w domu, postanowiłem jeździć i znów o mało drogo tego nie przepłaciłem. Miałem interes czysto osobisty u mego kuzyna Janusza Dmochowskiego w Komarówce, brata tego, który zginął pod Sajówką. Zjawiała się tam jakaś kuryerka, przywoziła pakiet papierów i małe pudełeczko z poleceniem, aby to dostawić do Włodawy. Janusz prosił mnie, abym to ze sobą zabrał wracając, prócz tego miał ze mną jechać Zdzisław Chrzanowski, aby się dostać do krewnych w Lubelskie. W drodze wszystko szło dobrze, pytaliśmy się w każdej wsi, czy niema gdzie blisko wojska, pakieciki miałem przy sobie. Pomimo tych ostrożności w Sosnowicy zostaliśmy obskoczeni przez kozaków. Oddział składał się z czterech rot piechoty, pół szwadrona dragonów i pół sotni kozaków. Zaskoczył tu przez chwilę Kamińskiego z kilkudziesięcioma jazdy z byłego naszego oddziału, którzy wymknęli się jednak bez straty i jeszcze oficerowi dragonów parę lotek w szyję wpakowali. Wpadłem więc w gniazdo rozjuszonych wilków. Rękami odpychając szable i spisy kozackie, któremi nam grożono, krzyknąłem na oficera, że może nas aresztować, ale niema prawa pozwolić, aby pod jego okiem żołdactwo mordowało bezbronnych. Kazał nas postawić pod

wartą. Udając zmęczenie, siadłem na ziemi, i okryty burką wygrzebałem rękami dołek, w którym złożyłem mój niebezpieczny pakiet; zaledwie obtarłem ręce, gdy przystapiono do rewizyi. Poddalem się jej z czystym sumieniem i uśmiechałem się tylko, gdy Chrzanowski nie mógł zrozumieć jakim sposobem nic nie znajdują. Szczęście moje, iż to był oddział świeżo w te strony przybyły, i nie znający miejscowych stosunków, jedynie denuncyacya mogła była mnie zgubić, a do tego pomimo wypytywania chłopów i żydów nie przyszło. W nocy oddział z nami wyruszył do Turny i na drugi dzień dopiero nas uwolnił. Żwawo więc ruszyliśmy do domu, po drodze jednak, pamiętając miejsce koło płotu, w którym porachowałem kolki, zabrałem pakieciki, które o mało mię nie zgubiły a może nawet i mego towarzysza.

Tymczasem w mym sąsiedztwie na Lipniaku jakiś Klimaszewski począł formować oddział dla Krysińskiego, w innych miejscach także formowano je, a niebawem zjawil się i sam Krysiński na czele dobrze uzbrojonego, umontowanego i ubranego szwadronu jazdy i stanął na Lipniaku. Jest to mała wioseczka, położona jakby na wyspie pomiędzy bagnami, dwie tylko grobelki z mnóstwem mostków do niej prowadzą, a przerwawszy je niepodobna się tam dostać.

Stawiłem się przed Krysińskim konno i zbrojno z Franciszkiem, prosząc o zapisanie nas do jego jazdy, bo piechota prawie nie istniała, i w ten sposób rozpoczęła się druga część mojej wojaczki, już konno odbywana, a daleko uciążliwsza od pierwszej i obfitsza w niebezpieczeństwa.

Wolałem służyć pod Krysińskim, jak pod kim innym, bo go znałem, a był to człowiek sprytny, odważny i szczęśliwy, a mający zaufanie u prostych ludzi. On jednak mianował mnie swoim adjutantem. Ponieważ funkcyje adjutanta nie w boju zależały głównie na »emablowaniu« kuryerek, poprosiłem więc przy zdarzonej sposobności, gdy znalazł się kandydat na tę posadę, o inną odpowiedniejszą dla mnie, i objąłem obowiązki oboźnego, t. j. straż nad porządkiem i bezpieczeń-

stwem oddziału. W bitwie miałem miejsce na prawym krańcu pierwszego szeregu, jako wachmistrz szwadronu, a w czasie pokoju, w nocy szczególnie, pilnowałem zmian i czujności pikiet. Dano mi drugiego konia, bo jeden byłby nie podolał. Miałem więc pracę wystarczającą na dwa konie i wielką odpowiedzialność, bo bezpieczeństwo wszystkich od mej czujności zależało. Tylko takie żelazne zdrowie, jakie pomimo wątłego pozoru ciągle mi dopisywało, mogło tym trudom podolać.

Kilkudziesięciu piechoty Klimaszewskiego stało przy nas, lecz byli źle uzbrojeni. Spodziewano się kilku jeszcze, lecz prawie bezbronnych oddziałów, a tu nadeszła wiadomość o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Trzeba było wyjść z Lipniaka, aby go odciągnąć od tego punktu zbornego, a poprowadzić za sobą. Wyruszyliśmy więc, piechota skrycie lasami, a my bardzo ostentacyjnie, umyślnie dając się widzieć wszędzie. Stanęliśmy nareszcie pod Żezulinem, nieprzyjaciel ciągle nas ścigał i ku wieczorowi nam się ukazał. Piechota nasza ukryta została w lesie, nie chcieliśmy jej nawet pokazywać, tak licho była uzbrojona, my zaś rozwinęli się przed nią i rozsypani w łańcuch tyralierski strzelali do kozaków. To spotkanie nie miało prawie żadnego skutku, gdyż nie mieliśmy piechoty, a nieprzyjaciel mało jazdy, gdy więc piechota rosyjska zbliżała się ku nam, myśmy się cofali, gdy zaś jazda ich zanadto się ku nam zbliżała, zwiialiśmy się w kolumnę i spędzali ją z pola na jej własną piechotę. Poznałem, że jazda nasza lepiej te obroty wykonywała, niż za poprzedniej mej służby. Gdy Krysiński był już pewnym, że Klimaszewski ze swą biedną piechotą oddalił się dostatecznie, zakomenderował odwrót, i przy odgłosie trąb pomaszerowaliśmy do Łęczny. Nieliczna jazda nie śmiała, a piechota nie mogła nas ścigać. Mieliśmy jednego człowieka i jednego konia lekko rannego. Kozaków dwóch widziałem spadających z koni.

Maszerowaliśmy ze dwa tygodnie w Lubelskiem. Przez ten czas piechota nasza wzmocniła się do dwiestu ludzi przez przybycie Bardela. Chwilowo połączył się z nami Ćwiek (Cie-

szkowski) i niedaleko Garbowa wspólnie z nim, mającym do-  
brze uzbrojony oddział, mieliśmy strzelaninę z kozakami; aż  
nareszcie stanęliśmy w Turobinie.

Tu, już wyleczony Wierzbicki, zebrał kilka oddziałów,  
a mianowicie swój, nasz, Ćwicka, Mareckiego, Lenieckiego,  
Rudzkiego i Jankowskiego. Mianowany został naczelnikiem  
wszystkich sił zbrojnych w Lubelskiem. Było nas razem prze-  
szło trzy tysiące. Spotkałem się, w kawaleryi Wierzbickiego,  
z mym dobrym przyjacielem, Sewerynem Jinke, który w kilka  
dni potem zginął niedaleko Chelma. Wierzbicki początkowo  
miał zamiar uderzyć na Krasnystaw, lecz projekt ten spelzł,  
nie wiem dla jakich powodów. Skończyło się na przeglądach,  
manewrach, po których rozeszliśmy się w różne strony. Część  
naszej jazdy, mianowicie jeden pluton wysłany był nad gra-  
nicę, dla zabrania stamtąd broni, my zaś ruszyli ku Chelmu.  
Chelm jest to zapewne najporządniejsze z miasteczek, w jakich  
powstańcom zdarzało się bywać, większe bowiem wszystkie  
miały silne załogi; nie więc dziwnego, że wejście do Chelma  
było dla nas wielką fetą. Był to dzień odpoczynku dla ludzi  
i koni. Pikiety nie potrzeba było żadnych, bo z wieży kate-  
dry widać wszędzie na milę na okolo. Konie rozsiadane z roz-  
koszą wyciągnęły się na słomie. Gościnni mieszkańcy zapra-  
szali znajomych i nieznanomych i hojnie ich ugaszczali. U bi-  
skupa był obiad dla wszystkich oficerów. Ten tylko, kto często  
parę tygodni z rzędu nawet się nie przebieirał, spał na gołej  
ziemi, często jeszcze na deszczu, a zawsze w ubraniu, nigdy  
prawie nie jadł na talerzu, mając łyżkę, nóż i widelec; ten  
tylko może zrozumieć całą przyjemność dnia tak spokojnie  
i wygodnie spędzonego. Były trudy i niebezpieczeństwa, lecz  
nie było kłopotów, myśl zatem była swobodna; o jutrze nikt  
nie myślał, bo mniej jeszcze niż kiedykolwiek był pewnym  
czy go doczeka. Była więc chwilka swobodna się trafiała, byle  
jaka-taka wygoda, wnet wesołość opanowywała wszystkich  
i koncepta sypały się jak z rogu obfitości. Polak z natury  
niezmiernie łatwo staje się żołnierzem, a chociaż w powstaniu

wielu warunków do wyrobienia dobrego żołnierza brakowało, jednak ten spryt żołnierski, ta skłonność do facecyy, w groźnym nawet nieraz niebezpieczeństwie, ta nieprzebrana doza dobrego humoru, znajdowała się na zawołanie i nie opuszczała nigdy powstańców. Prosty wieśniak odrazu chwycił to usposobienie i w kilka dni po zaciągnięciu się był już innym człowiekiem.

Opuściliśmy Chelm o zmroku, gdyż w mieście noc przepędzać było niebezpiecznie i dla karności niedobrze. Straż na wieży nie znaczyłaby nic, a pikiety miałyby silną pokusę wrócić wieczorem do miasta; zresztą ludzie porozehodziliby się po domach i trudno byłoby ich zgromadzić w razie napadu.

Tu dodam, co zapomniałem we właściwym miejscu powiedzieć, że idąc ku Turobinowi jeszcze, Krysiński odkomenderował ze trzydzieści koni do zaalarmowania Lublina. Któryś z naszych oficerów z kilkunastoma ludźmi wpadł na rogatkę piasecką, ja zaś z równym pocztem na łączyńską; naturalnie w nocy. Na moście spotkaliśmy kozaka, który strzelwszy uciekł, a my tuż za nim popędziliśmy przez Kalinowszczyznę, koło Bazylianów, aż na lubartowską drogę, tu stała druga rogatka, a przy niej już silniejsza piesza placówka, lecz sądząc, że ma do czynienia z licznym oddziałem, po wystrale cofnęła się w środek miasta. Zwaliliśmy rogatkę i wpadli na plac targowy, gdzie stoją jatki, lecz od magistratu już nadbiegał liczny oddział piechoty, skęciliśmy więc przez ulicę Szeroką, i wrócili bez straty na Kalinowszczyznę, lecz przez chwilę, gdym z placu targowego ujrzał szczyt domu, w którym mieszkał wtenczas mój ojciec, gdy mi przyszła myśl, że ani się domyśla, że syn o kilkanaście tylko kroków, pod jego prawie oknami wśród gradu kul przebiega, posłałem w tę stronę serdeczny pocałunek i zdjął mnie taki żal dziecięcy, że może alarm nocny go zbudzi i niepokoju nabawi, że aż łzy w oczach mi stanęły. Na Kalinowszczyźnie zatrzymaliśmy się przed jakimś szynkiem, skąd herbaty po szklance nam wyniesiono, i przez nikogo nie niepokojeni, przededniem złączyliśmy się z tymi, co od Piask atakowali, w obozie Krysińskiego.

Lecz wracam do dalszego opowiadania. Na trzeci dzień po opuszczeniu Chelma, będąc o dwie mile od tego miasta, otrzymaliśmy wiadomość, że Kozłowski, dowodzący oddziałem Œwieka, bije się w Chelmie. Czas potrzebny dla dojścia tam, oraz ten, co już upłynął, zanim otrzymaliśmy wiadomość, ka-zały wnosić, że na czas nie zdążymy. Sympatya jednak dla tego dzielnego oddziału była taka i tak ochotnie oddziałek nasz gotował się do wyprawy, że Krysiński pozwolił raczej niż kazał ruszyć ku Chelmowi.

Zostawiliśmy piechotę daleko za sobą, lecz o wiorst kilka, dowiedzieliśmy się napewno, że wszystko skończone, że Kozłowski z pomocą Rudzkiego odparł nieprzyjaciela, który go w Chelmie zaatakował. Rosyane próbowali nawet bombardować miasto i dwa dachy spalili, lecz pożar został stłumiony.

Wróciliśmy więc i kolując zbliżali się ku Lipniakowi, a w tej naszej fortecy czekał nas Etnier, który ze trzystu ludzi źle uzbrojonych przyprowadził, lecz zato wiele mundurów, butów i bielizny. Niedługo przybyło kilkuset Litwinów pod dowództwem Eytminowicza. Sily więc nasze wzrastały znacznie. Lecz jakaż była radość, gdy dano znać, że część naszej jazdy, którą wysłano po broń nad granicę, zbliża się i prowadzi długi szereg furmanek. Wszędzie było slychać »broń! broń! nam wiozą«. Rzeczywiście rzadki to był wypadek, a może i jedyny w czasie powstania, aby trzydzieści kilka fur, nala-dowanych bronią i amunicją, mogło przejść dwadzieścia prze-szło mil krajem, po którym snuly się nieprzyjacielskie oddziały. Zwykle oddziały szły po broń nad granicę, lecz często tam wpierane były do Galicyi, bo granica silnie była strzeżona. Przywieziono nam przeszło 700 karabinów, 300.000 gotowych ładunków, prócz szabel, rewolwerów, pistoletów, karabinków dla jazdy i t. p. Zaczęło się organizowanie sil naszych i od-dział uformował się w sile 1.000 ludzi dobrze uzbrojonych i jednostajnie ubranych.

Cała piechota podzielona była na dwa bataliony, z tych pierwszym dowodził Bardel; batalion ten miał trzy kompanie

strzelców i jedną kosynierów. Pierwszą dowodził Pissaferi, Włoch, wojskowy piemonecki, drugą Leszczyński, oficer pruski, trzecią Osser, Kroat, wojskowy austriacki, czwartą, kosynierską, dowodził Grundman. Kompanie strzeleckie miały po 130 do 140 ludzi, kosynierska zaś nie liczyła więcej jak 50, na wypadek bowiem jedynie zachowano kosynierów, którzy rzadko kiedy mogli być użyeci; kosy zato wybrano co najlepsze, na ten cel umyślnie robione, w guście starożytnych berdyszów. Drugi batalion, litewski, pod dowództwem Eytminowicza, był w takim samym składzie, prócz tego, że nie miał kosynierów; nie pamiętam dowódców kompanii. Jazda pod dowództwem Szumskiego liczyła 130 koni i dzieliła się na 4 plutony, dowodzili nimi Kamiński, Cetnarski, Wyszyński i Malanowski. Wszysey strzelcy uzbrojeni byli w karabiny z bagnetami. Litwini jednak wozili swoje na wozach a nie chcieli się rozstać z dubeltówkami. Jazda miała szable i karabinki krótkie, prócz tego wszysey oficerowie i podoficerowie mieli rewolwery, a nawet i znaczna część żołnierzy. Konie były dobre, kulbaki wygodne, dostateczna ilość ładownic, mantelzaków etc. Słowem oddział był zaopatrzony we wszystko, czego mógł potrzebować. Na domiar obfitości otrzymaliśmy transport, złożony z kilkuset krótkich kożuszków, bardzo porządnych; był to dar kupców z Brześcia i Międzyrzecza. Można więc było ubrać wszystkich w jednostajny ciepły ubiór, bo chociaż ciepło było zupełnie, jednak byliśmy już koło Wszystkich Świętych; zima więc lada chwila mogła zajrzeć nam w oczy, a dotąd zaledwie połowa miała kożuski.

Ja zachowałem moje dotychczasowe funkcye oboźnego, a nawet one jeszcze rozszerzone zostały. Ponieważ jazda nasza często potrzebowała na dłużej opuszczać piechotę, dla robienia rekonesansów, spenetrowania okolicy, furazowania i t. p. a nigdy na pewno nie można było liczyć na jej powrót, przeto dodano mi oddziałek z 14 ludzi złożony, którego zadaniem było pełnić służbę obozową w nieobecności innej jazdy, to jest zaciagać w koło obozu pikiety; gdy zaś jazda była w obozie,

ja robiłem różne podjazdy i wyprawy. Krysiński pragnąc, aby to był oddziałek wzorowy, dał mi wybór ludzi i koni; byli to prócz mnie i mego Franciszka sami wojskowi. Władzę nad nimi miałem nieograniczoną i tylko Krysińskiemu raportować byłem obowiązany. Ciągły ruch i czujność tak wyrobiły tę garstkę, że nigdy nie zawiodła i, lubo przetrzebiona, wytrwała do końca powstania. W wigilię świąt Bożego Narodzenia, kiedyśmy powtórnie weszli z Galicyi, było już tylko ośmiu z tych ludzi, a na wiosnę 1864 roku, na końcu powstania pozostało pięciu. Ja dowodziłem nimi, bo byli to ludzie prości, lecz przy nich, jako starych wojskowych, uczyłem się nowego dla mnie wojennego rzemiosła. Zaraz na początku uformowania tego oddziału, czyli, jak go potem nazwano, mej »bandy«, zdarzył się jedyny wypadek uchybienia służbie i karności wojskowej, który został ukarany śmiercią. Rzecz była taka: Miałem między innymi czterech Węgrów, huzarów austryackich, niezbyt karnych; jeden z nich, najgorszy awanturnik, opuścił samowolnie pikietę i pojechał do dworu w Zienkach; aresztowany, bronił się i został skazany na śmierć; inni trzech Węgrzy zbuntowali się i zostali aresztowani. Ponieważ mówili, że służą na swych koniach, ze swą bronią, z ochoty, nie z obowiązku, więc dałem im do wyboru albo służbę obowiązkową i przysięgę na ślepe posłuszeństwo, albo opuszczenie oddziału bez koni i broni, za które im zapłacę. Dwóch wybrało to ostatnie, trzeci przysiągł i bardzo porządnie od tej chwili prowadził się. Skazany został rozstrzelany, a owi dwaj odprowadzeni zostali przez jazdę Wróblewskiego do granicy, co im było nie w smak, bo zapewne sądzili, że dostaną konie i broń jakim sposobem i jako maruderzy będą po okolicy rabować. Dostali z kasy po 100 rubli sr. Na miejsce trzech ubyłych dostałem trzech nowych, i odtąd, od owej awantury, punktualna służba nie została ani razu nadwężona. Skład mego oddziałku nie zmienił się i śmierć jedynie go uszczuplała. Z ludźmi tymi byłem ciągle, nie sypialiśmy inaczej nigdy, tylko na dworze przy koniach, i jeszcze bardziej ugruntowało się we mnie przekonanie, że

gdyby naczelnicy dzielili trudy swych żołnierzy, zamiast ze swymi sztabami zajeżdzać od dworu do dworu, powstańcza armia zupełnie inaczej by się wyrobiła. Ciagle obcowanie, dzielenie niebezpieczeństw i trudów wyrobiło między nami najsilniejszy może z węzłów, braterstwo broni, jedyne, które jest w stanie zatrzeć różnice wychowania, nawyknień i wykształcenia. Że ludzie prości bardzo czuli się ujętymi tem, że nie opuszczam ich nigdy dla przyjemniejszego czasem towarzystwa, miałem tego liczne dowody; a z czasem i ja zasmakowałem w gawędce z tymi nie uczenie ale naturalnie, zdrowo i poczciwie myślącymi i wyrażającymi się towarzyszami broni. — Dotąd wszystkie te twarze są mi pamiętne i to serdeczną pamięcią. Gdybym umiał, wyrysowałbym ich wszystkich, i prawdziwą miałbym radość patrzeć często na ich szorstkie lecz prawe twarze. Stary wachmistrz, Turaliński, były podoficer dragonów z Kaukazu, był gospodarzem naszego oddziału. Prawdziwy żołnierz, zawsze przemyślny, zapaśny, nigdy nie był bez wiktuałów w swych olbrzymich sakwach przy kulbace, i nie jadając obiadów sztabowych, miałem zawsze u niego posiłek gotowy. Konie nawet wszystkie mam dotąd przed oczyma, każdemu z nich Turaliński dał nazwisko, moja szpakowata klacz nazywała się »Dosia«, a guiady koń »Bęben«. Gdy na jednym siedziałem, drugi biegł luzem, i tak były oblaskawione, że każdy z nich do ręki na zawołanie przychodził i to natychmiast. Nie mogę przenieść na siebie, aby tu przynajmniej nie uwiecznić imion tych moich towarzyszy.

Umieszczam więc listę mej, tak zwanej »bandy«, wraz ze stanem służby każdego:

1. Dorosz, ulan austriacki, zginął pod Rososzem;
2. Franciszek, ranny pod Rososzem, został w szeregach;
3. Ziembra, ulan rosyjski, zginął pod Kolanem;
4. Szober, Czech, kirasyer austriacki, zginął pod Malinówką;
5. Baraniuk, ulan rosyjski, ranny pod Malinówką, poszedł do szpitala;

6. Pester, Węgier, huzar austriacki, ranny pod Malinówką, został w szeregach;
7. Bialecki, ulan b. wojsk polskich, padł pod Zienkami zabity, lub ranny wzięty do niewoli;
8. Kubiak, ulan pruski, ranny pod Zienkami, poszedł do szpitala;
9. Turaliński, wachmistrz, dragon rosyjski, ranny pod Zienkami, został w szeregach;
10. Paszkowski, ulan austriacki, ranny pod Zienkami, został w szeregach, ranny i wzięty do niewoli pod Sernikami;
11. Michalski, ulan austriacki, zginął pod Hutą Krzeszowską;
12. Markiewicz, szasser b. wojsk polskich;
13. Piszczatowski, strażnik graniczny rosyjski;
14. Kański, ulan pruski, ranny pod Hutą Krzeszowską, został w szeregach. Zginął w wigilię Bożego Narodzenia podczas marszu w Galicyi;
15. Ja, podporucznik, ranny pod Sernikami, zostałem w szeregach.

## Z c e s t a w i e n i e.

Zginęło . . . . .	5
Rannych odesłanych do szpitala . . . . .	2
Rannych wziętych do niewoli . . . . .	2
Rannych pozostałych w szeregach . . . . .	4
Wcale nie rannych . . . . .	2

Razem . 15

Odtąd oddałem się zupełnie mojej małej komendzie, w wolnych chwilach czytywałem im opowiadania z żywotów świętych lub historii polskiej, a nawet czytać i pisać ich uczyłem, co łatwo mi poszło, bo każdy miał jakie takie początki. Starzy wojskowi, polsey, prusecy lub austriacy czytali i pisali wcale dobrze, rosyjscy jedynie, prócz Turalińskiego, mało co umieli po rusku a prawie nie po polsku. Turaliński miał nawet pretensyę do ortografii, lubo pretensya ta nie zawsze była usprawiedliwiona.

Nadszedł dzień 4. listopada, t. j. imieniny naczelnika. Lerbas dostarczył różnych wiktualów, przybyło nawet kilka osób z okolicy, były ognie bengalskie, ognie sztuczne, muzyka, iluminacya i t. p.

Komendy nieprzyjacielskie, czy miały o nas przesadzone wiadomości, czy też czekały, aby wspólnymi siłami stanowczy cios nam zadać, dość, że zostawiały nas w spokoju. We Włodawie mówiono że mamy do 5.000 ludzi, armaty, żeśmy się ufortyfikowali i t. p. Wtem wszystkim było tyle prawdy, że mieliśmy race z granatkami i że pokopaliśmy przy wejściach do naszego obozowiska rowy z nasypami, mogącymi chronić strzelców w razie napadu.

Czas schodził na musztrach i wprawianiu się w obroty wojenne, było także strzelanie do celu, szermierka i t. p. ćwiczenia tak ludzi jak koni.

Podczas naszego pobytu na Lipniaku podsuwały się niejednokrotnie ku nam podjazdy nieprzyjacielskie, mianowicie kozackie. Na drodze wiodącej z Lipnika do Bud Wytyckich stał dąb z konarem, wyciągniętym nad dróżką, w miejscu, gdzie ona skręcała się raptownie, konar był tak nisko, że jeździec musiał się dobrze schylić, aby pod nim przejechać. Dziś niema już tego dęba. Oddział kozaków chcąc wybać co robimy, podsunął się tą dróżką i natknął na naszą pikietę, która dała ognia. Paru kozaków puściło się za nią, i jeden z nich padł na miejscu z roztrzaskaną o ten konar głową. Ponieważ zaraz pospieszyłem w tę stronę, zastałem go więc na miejscu, inni oddalili się.

Raz na wiadomość, że oddział kozaków przyszedł w nocy do Wytyczna, Krysiński wyprawil kilka hufców naszej jazdy, aby go z różnych stron zaskoczyła. Ja z moją bandą miałem wpaść od strony Włodawy. Idąc cicho, w ciemności ujrzałem przed świtem pikietę kozacką. Wyprawilem dwóch swoich, aby ją zaskoczyli, bo zdawało mi się, że drzemie, i tak się to udało, że kozak bez strzału został sprzątnięty. Wpadliśmy do wsi, gdzie zrobił się straszny rwetes, kozacy na prędcie do-

siadali koni i uciekali ku dworowi. Nas było piętnastu, ich z pięćdziesięciu, wiedziałem, że jak się opatrzą, to będzie źle, trzeba więc było nadrabiać miną i najeżdżać, aby nie dać czasu na opamiętanie; a tymczasem innych naszych oddziałów ani widać. Stary kozak, jadący na końcu ciągle wołał: *postojte molodecy, lachów nie mnoho!* Nareszcie stanęli i rzucili się ku nam, szczęściem nieopodal była karczma, tam kazałem zawrócić; wjechaliśmy do stajni, zatarasowali się i z okien i przez szpary w ścianach poczęliśmy strzelać. Trwało to kilka minut. Kozacy już przynieśli słomy, aby nas upiec żywcem, gdy nareszcie jeden od strony dworu, drugi zaś od strony cerkwi, ukazały się dwa nasze oddziały i kozacy pomknęli ku Włodawie. I my także ku nim podsuwaliśmy się parę razy. Pamiętam dwa napady nocne na Włodawę, w których miałem udział, a było ich więcej bezemnie.

Raz wpadliśmy traktem od Suchawy, na rogatce było tylko dwóch piechurów, którzy strzelili i gdzieś znikli. Wpadliśmy do miasta, jakiś Rosyaniu pędzący z latarnią, i drugi chcący ale nie mogący dobrze trąbić, bo był rozespany, zostali porąbani, nie wiem czy na śmierć, na rynku. Wśród alarmowych trąbek i bębnow znikliśmy równie prędko, jak się zjawili.

Ale pokazuje się, że nie należy tego zbyt często powtarzać. Gdy powtórnie wpadliśmy traktem od Rożanki, kozak, stojący na rogatce dał ognia i uciekł. Otworzyliśmy szlaban, lecz zaledwie sto kroków po za rogatkę ujechaliśmy, gdy przyjęła nas salwa ukrytej a widocznie zawczasu przygotowanej piechoty. My więc nazad, a tu drugi oddział zamyka rogatkę i znów przyjmuje nas ogniem. Trzeba było przerzynać się przez zagradzających drogę, a byłoby jeszcze gorzej, gdyby Rosyanie byli zamknęli na klucz rogatkę, gdy tymczasem zadowolnili się tem, że jeden z nich trzymał szlaban za łańcuch, a że widocznie musiał paść, lub przynajmniej oberwać guza w tem starciu, więc puścił łańcuch z ręki i rogatka w najkrytyczniejszej chwili sama się otworzyła. Ja jednak z kilkoma już byłem

za rogatką, konie nasze ją przesadziły. W tej okazji zginęło jednak dwóch czy trzech, ale nie z mej bandy, tylko z tej części jazdy Szumskiego, która nam w napadzie towarzyszyła. Gdy ubiegłszy kilkaset kroków, nie będąc ścigani, obiecaliśmy się, pokazało się, że między innymi brakuje tak zwanego »koguta«, to jest jednego z jazdy Szumskiego, który doskonale pianie koguta naśladował i był czasem używany do dawania sygnałów, gdy ani trąbki ani świstawki używać nie było można. Jeszcześmy go nie odżalowali, gdy w odległości pianie dało się słyszeć, a wkrótce i sam artysta się zjawil. Utrzymał, że wymknął się z matni pomiędzy domami, inni twierdzili, że korzystając z ciemności, popołgował instynktowi zachowawczemu, pozostał w tyle i wcale przez rogatkę nie przejeżdżał. Kwestya ta pozostała tajemnicą.

Dla dania zajęcia żołnierzom robiliśmy i udane napady. Gdy jeden oddział trzymał strażę, inny starał się go podejść lub niepostrzeżenie wkraść się do obozu. Moja komenda, zawsze trzymana w czujności, u której pierwszym prawem było bez wyraźnego rozkazu pod dach nie wchodzić, nigdy zaskoczyć się nie dała, a raz nawet zawstydzila któryś z oddziałów jazdy Szumskiego. Wtenczas bawil u nas Kruk. Wyszedłem z mą bandą drogą ku Zienkom; dla rozpoznania mieliśmy lewe ramię przewiązane chustką. Potem zrobiwszy koło, podsunęliśmy się ku obozowi od strony Woli Wereszczyńskiej, i przez bagna, prowadząc konie w rękę, ominęliśmy nasze pikiety; dla zamaskowania tego ruchu, paru moich jeźdźców ukazało się pikietom w innej stronie. Gdy już byliśmy na twardym gruncie, wsiadłszy na koń puściliśmy się galopem i obskoczyli kwatery Kruka i Krysińskiego. Podczas gdy Kamiński i inne plutony jazdy trąbiły dopiero alarm i dosiadały koni, ja już wszedłem do kwatery naczelników i z uśmiechem powiedziałem: »panowie, złóżcie broń, bo dom otoczony!« Kruk w pierwszej chwili nie zrozumiał, co to znaczy, bo nie wiedział o komedyi. Potem jednak dał reprimendę oficerowi, który podówczas trzymał strażę, a mojej bandzie pozwolił na lewem

ramieniu nosić szewrony, które też zaraz jakaś kuryerka, reprezentująca piękność, jako nagrodę cnoty rycerskiej, z białej tasiemki w braku galonu nam przyszyła.

Tak na Lipniaku, jak w czasie późniejszych wędrówek i awantur, przy posiłku i spoczynku toczyła się zawsze nawpół wesoła, nawpół poważna gawędka. Życie wojskowe, ale nie w pokoju, tylko w czasie wojennym, jest szkołą, w której wyrabia się prawdziwa religijność, głęboka wiara, a nawet zabobon. Stary wachmistrz Turaliński wierzył mocno w złe i dobre godziny, a zaczepiany przemuście w tym przedmiocie ze swoją prostą loiką odpowiadał:

»Jak nie wierzyć? Ja człek prosty nie wiem, co o tem w książkach piszą, ale wiem, że są złe i dobre godziny, bo człowiekowi raz dobrze, a drugi raz bieda. Więc lepiej nie budzić licha, żeby nie wymówić w złą godzinę, a co komu zapisano, to go i tak nie minie. Ot! mnie na Kaukazie kozaczka kubańska, czarownica, powiedziała, że w ten ot mental kula czerkieska trafi, a dostałem ten mental zato, że czerkieskiego generała żywkiem złapał. A miał ten generał taką szablę, okutą w dyamenty, co jakem ją sprzedał armiano wi, tak jakby u nas żydowi, tom za nią całemu pulkowi taki bal sprawił, że nikt ani rączką ani nóżką ruszyć nie mógł. Sam pulkownik pił za moje zdrowie i byłby do kwatery nie zaszedł, żebyśmy go byli nie zaprowadzili. Jak mnie ta czarownica to powiedziała, tak mnie się zrobiło trochę markotno. Zrobilem se poduszeczkę z pakul i nosilem rychtyk pod mentalem, alem potem i zapomniał. Aż tu później idziemy na wyprawę w góry, a góry takie, co czasem trzy dni człowiek jedzie, zanim na wierzch dojedzie, a potem znów trzy dni na dół się spuszcza tak, że koń na zadzie jak saniami jedzie. Gorąco takie, że aż skóra pęka, pozdejmowaliśmy kitle i tak jedziemy, aż tu Czerkiesy paf! paf! przepędziliśmy ich, ale ja pod wieczór wdziewam kitel, a tu w nim kula, rychtyk w mental trafiła i aż się splaszczyla. Żebym go miał na sobie, byłoby po mnie«.

Michalski, ułan austriacki, prawil o wojnie włoskiej, a gdym mu się sprzeciwił, dlaczego dali się pobić pod Solferino: »Trudno panie — mówił — człek sam nie poradzi. Jakeśmy panie poszli na Italianów, tośmy ich panie het! precz! na cztery wiatry rozegnali. Dalej, panie, stał sam ich król, my panie do niego, a on panie krzyczy: do mnie chłopey! stać! bo nas rozniosą! Ale gdzietam, bylibyśmy go panie zabrali, ale z boku, panie, król francuski pędzi z kirasyerami, musieliśmy panie z nimi się zabawić, a tymczasem król italiański pozbił panie swoje wojsko. Żeby panie jenerałowie nasi prowadzili panie, jak się należy, to byśmy panie obu tych królów, cesarzowi naszemu przyprowadzili«.

Żeby to można z Rosyanami tak się urządzić, jak wyście się z Czerkiesami i Italianami urządzali, mówiłem.

»Na to trzeba żołnierzy, a nie takich rekrutów — prawil stary poznańczyk, były ułan pruski — u nas to po prusku: *still!* porządek! słuch! a tu zaś chichy, śmiechy. Żeby choć tak jak nie chwalać się w naszej komendzie, ale gdzie zaś. Ot, włóczą się, a zaś najbardziej ta kawalerya. Chodźmy tam, bo dobry dwór, tam znów dobra stajnia, a zaś tam panny. Zbytki i tyle. Boże odpuść, a zaś żaden huncfot nie pamięta, że ani się obejrzy, jak przed Bogiem z grzeszną duszą stanie«.

»Strach, do czego przyszło — konkludował stary Bialecki, były ułan pruski — a to wszystko, że niema subordynacyi. Za naszych czasów, to na kozaka nikt nie chciał patrzeć. Raz pamiętam, wychodzimy z krzaków, a tu na polu kozacy. Nasz rotmistrz powiada: co chłopey! nie będziemy sobie lanc paskudzić tą hołotą! narznąć dobrych leszczowych prętów i dalej na nich! My w śmiech, a oni w nogi. Jednemu to wsypałem w plecy ze sto kijów, aż z mundura strzępki tylko zostały, a on konia okładał nahajką i krzyczał: *pomiłuj, pożałuj!* A teraz to takie zdrowe jak krew z mlekiem chłopaki nie wstydzą się przed kozakami uciekać! koniec świata! powiadam. Ale co poradzisz na to, kiedy my tylko służbę

znamy, a te piecuchy w słomie leżą i jeszcze im twardo, to też się praca nasza zmarnuje».

»Cicho stary! będziem swoje robić a i drudzy się przy nas nauczą« — przerywałem.

»Taż nie, co tylko będziem robić, ja im też mówię i bezztam nawet, co się znieści, ale to wszystko, pożał się Boże! gdzie im to w głowie! To dobrze, że pan porucznik ma w swej komendzie samych żołnierzy, bo choć, co prawda, to tylko ja i Markiewicz prawdziwą służbę za Wielkiego księcia znamy, to i reszta przecie choć w jakim takim wojsku służyła i cośkolwiek rozumie. Ale niechby panu porucznikowi przyszło komenderować nieprzymierzając tymi paniczami od Kruka, co to sami oficerowie, a na pikiecie stać niema komu, albo od Szumskiego, co połowa ich z prawej strony na koń siada, toby pan porucznik z przeproszeniem na to wszystko plunął i rzucił do djabła, albo by sam jeden sypiał przy koniu na dworze, bo oni by się wszysey do chałup pochowali, jak mi Bóg miły!«

W tym rodzaju gawędy toczyły się przy ogniskach obozowych. Turaliński otwierał swe bezdenne sakwy i sięgał do niesłychanej wielkości kieszeni i z etykietą wojskową podawał mi manierkę i czysto wytarty kubek. Czarka krążyła dalej; jeżeli obóz cały gotował w kotłach, to przynoszono krupnik w blaszanych kociolkach, jakie każdy z nas miał przy mantelzaku; w przeciwnym razie spiżarnia Turalińskiego dostarczała specyjalów, a w najgorszym razie był chleb ze słoniną, którą przyskwarzało się na ogniu. Tymczasem obok nas konie chrupały obrok w torbach.

Nareszcie w połowie listopada wyruszyliśmy z Lipniaka, nadeszła bowiem wiadomość, że oddział nieprzyjacielski znajduje się w Holi, o milę od nas, postanowiono spróbować na nim naszej nowej broni. Obszedłszy lasami, jużemy się zbliżali do Holi, gdy nieprzyjaciel opuścił ją w przeciwną stronę. Posuwaliśmy się za nim aż do Rososza, lecz i to miasteczko opuścił, udając się w stronę Łomaz. Nie mieliśmy jazdy prócz mej bandy, gdyż była gdzieś porozsyłana w czasie gdy wiado-

mość przysła, nie mogliśmy więc ścigać nieprzyjaciela, który zdawał się unikać bitwy. Stanęliśmy więc w Rososzu. Gdy szumiały nasze kotły, patrol mój przyprowadził schwytanego w lesie oficierskiego sługę, który powiedział nam, że mamy przed sobą cztery roty i szwadron ulanów.

Jużeśmy się nie spodziewali spotkania z nieprzyjacielem, gdy placówka nasza od strony Łomaz dała ognia. Rekonesans, który zrobiłem z Krysińskim, przekonał nas, że nieprzyjaciel powraca. Batalion Eytminowicza zajął ogrody przed miastem i rozsypał swych strzelców w rowach. Batalion zaś Bardeta rozłożył się na lewo na polu i zajął podobnie będące tam rowy. Tym sposobem Eytminowicz stanowił nasze prawe a Bardet lewe skrzydło. W środku pomiędzy nimi był staw i trzęsawiska, a nieco w tył szluz i most, przez który oba oddziały mogły ze sobą komunikować; kolo tej szluzy stał Krysiński i ja z mą małą komendą. Za batalionem Bardeta leżeli na ziemi kosynierzy, dla użycia w razie potrzeby. Litwini Eytminowicza nie chcieli rozstać się z dubeltówkami by wziąć karabiny, które beczynnje na furgonach leżały. Dopiero przekonawszy się, że na czystym polu, a zatem w znacznej odległości, strzelby ich są zupełnie bezskuteczne, zgodzili się wziąć karabiny, które moja komenda musiała im już pod ogniem nieprzyjacielskim rozdawać, równie jak ładunki.

Wkrótce nieprzyjaciel rozwinął się przed nami i rozpoczął ogień, coraz żwawiej z obu stron podtrzymywany. Z początku główne usiłowania skierowane były na Bardeta. Nieprzyjaciel chciał go rzucić w błota, lecz gdy to się nie udało, zwrócił wszystkie siły na Eytminowicza, który musiał się cofnąć do miasta. Już nieprzyjaciel zajął jedną ulicę i rzucił swą kawaleryę na rynek. Chwila była krytyczna, gdy kompania Ossera i moja banda, powiększona wszystkimi sztabowcami, ordynansami i t. p. pospieszyły z rozkazu Krysińskiego Litwinom na pomoc. Położenie się zmieniło. Litwini, którzy się cofnęli do domów, teraz tem straszniejszymi stali się dla ulanów, przebiegających ulicę i padających pod strzałami z okien

wymierzanymi. Gdy jeszcze Osser wzdłuż ulicy rozpoczął skuteczny ogień, cała ta jazda zupełnie się zmięszała i pierzeła. Wtedy moja banda, dotąd za domami ukryta, wpadła na ich karki i zaczęła się rąbanina. Ułani pomiędzy domami przez płoty i rowy na pola uciekali. Tu jeden z moich, Dorosz, padł przeszły kilkoma lancami. Franciszek obskoczony przez dwóch, już miał szeroką ranę przez twarz. Pospieszyłem i cięciem z tyłu w głowę uwolniłem go od jednego, a on tymczasem drugiego tak silnie w kark ugodził, że lubo szabla mu się zwinęła i rany nie zadała, jednak padł na miejscu ze zbitymi kręgami. Oficer rosyjski, Dwernicki, syn jenerała, zawisł w tym popłochu z koniem na płocie. Dojeżdżając go, krzyknąłem mu nad uchem: »nie ujdiesz Dwernicki!« bo znałem go przed powstaniem. On zaś dał do mnie prawie *a bout portant* trzy strzały z rewolweru; już go dosięgałem, gdy żerdź pękła, koń dostał nogami ziemi i pomknął jak strzała.

Zmieszanie jazdy nieprzyjacielskiej pod gęstym ogniem Litwinów i kompanii Ossera, i rzucenie jej na piechotę ubezwładniło chwilowo tę ostatnią. Uchwycił tę chwilę Krysiński i pchnął do ataku całe lewe skrzydło, co zmusiło Rosyan do cofnięcia się i odcięło tych, którzy się byli pierwaj za daleko w miasto posunęli, ci zginęli lub musieli się poddać. Ułani już nam się wcale nie pokazali, a piechota nieprzyjacielska ścisnąc szeregi i odstrzeluwając, odprowadzona jeszcze naszymi strzałami cofnęła się do Białej. My zaś odesławszy rannych, tak swoich jak nieprzyjacielskich do Kolana, gdzie był szpital, poszliśmy na noc do Polubiec.

Straty nasze wynosiły 30 przeszło zabitych i ciężko rannych. Czy nieprzyjaciel wziął z sobą i ilu rannych, niewiem. Pamiętam jednak, że po bitwie na placu zebraliśmy 50 przeszło z piechoty i 14 czy 15 ulanów, a prócz tego 17 jeńców zdrowych, którzy się poddali w budynkach. Bitwa ta poszła bardzo porządnie; nie było lasu, ani zarośli, wszystko działało się pod okiem oficerów, co dodawało ambicyi, nikt nie mógł chronić się cichaczem. Dlatego też po bitwie, gdyśmy zebrali

poległych i rannych, pokazało się, że brakuje nam tylko dwóch, którzy w chwili, kiedy piechota litewska cofała się do miasteczka, padli ranni i porwani zostali przez nieprzyjaciela, aby miał choć cokolwiek pokazać za powrotem do Białej. Jednak i to się nie udało, widać było sądzono, że ani jednego literalnie nie będzie nam brakować, gdyż ci dwaj uwolnieni zostali w drodze szczególnym sposobem. Gdy cofający się do Białej nieprzyjaciel stanął w nocy na spoczynek, czy też dla wyszukania drogi, jeden Tatar z pobliskiej wsi, Tupalski, ze Studzianki, który służył poprzednio w oddziale, zakradł się cichaczem prawie w środek obozu i począł strzelać z rewolweru krzyżąc: naprzód! hurra! hej! morduj! Korzystając z zamieszania, jakie stąd powstało, właściciel furmanki, na której leżeli dwaj nasi ranni, zaciął konie i pojechał z nimi. Obaj się wyleczyli a jednego z nich często potem widywałem. Był to Pankiewicz, znaleziony później w biurze naczelnika powiatu radzyńskiego, z powodu którego kilka osób było aresztowanych w owej okolicy.

Na trzeci dzień po bitwie pod Rososzem stanęliśmy w Kolanie, niedługo przybyła tam kawaleria litewska pod Wróblewskim, witali się więc Litwini nasi z nimi; my zaś usunęli się pod las, kolo jakiegoś folwarczku nieopodal Kolanu i tam obozowaliśmy, gdy strzał armatni podniósł nas na nogi. Nieprzyjaciel zaatakował Litwinów w Kolanie, a ci w nieładzie cofnęli się ku nam, lecz czując pomoc, niebawem sformowali się i zaczęła się bitwa ogólna. Nasi ustawieni brzegiem lasu, utrzymywali silny ogień. Część naszej jazdy wróciła, mieliśmy już trzy plutony, brakowało tylko czwartego, z którym Szumski poszedł po broń dla nowych oddziałów nad granicę. Nieprzyjaciel cofnął się, chcąc naszych wywabić z lasu, to mu się jednak z początku nie udawało. Krysiński kazał mi wiaść jazdę i objechać z nią nieprzyjaciela, a gdy ujrzę rozwinięty sztandar, uderzyć. Tymczasem począł wysuwać swoje kompanie z lasu i rozwijać je przed nieprzyjacielem. Gdy już się znacznie od lasu oddalily, jazda rosyjska

rzuciła się na nie, lecz one zwinawszy się w czworoboki cofały ku lasowi i nawet w las zagłębiły. Nieprzyjaciel naciskał je i piechota rzuciła się nawet w las z bagnietem do ataku, lecz została przyjeta tak gęstym ogniem krzyżowym ze strony cofającego się batalionu Bardeta i będącego w zasadzce Eytminowicza, że spieszuie wybiegła na pole, a jeden z żołnierzy został w miejscu, dał ognia przeciw swoim i połączył się z naszymi. Wtedy cała nasza piechota wybiegła z lasu z rozwiniętym sztandarem. Widząc to daliśmy ognia i rzucili się na furgony nieprzyjacielskie. Jazda więc rosyjska zamiast być użyta przeciw piechocie, musiała spieszyć ku nam. Nie mogliśmy ryzykować starcia z dragonami i ułanami, których była w dwójnasób większa siła, nie licząc kozaków; kontentując się więc zabranie dwóch dobrych oficerskich koni, trochy płaszczy i kociolków, jakie były na furgonach, rozsypaliśmy się w tyralierkę i w ten sposób zajmowali nieprzyjaciela.

Zwycięstwo naszej piechoty byłoby zupełne, gdyby nie to, że nowy oddział nieprzyjacielski ukazał się na tyłach Krysińskiego i natychmiast wziął udział w walce. Położenie więc stało się krytyczne i nie było ani chwili do stracenia. Krysiński, który miał tę zaletę, że się prędko oryentował i zaraz decydował, zebrał szybko swój oddział, opuścił pierwszego nieprzyjaciela, uderzył na pierwszą, jaką spotkał, kolumnę nowego, rzucił ją na błota, przeszedł błotnistą strugę, zebrał za sobą most i wycofał bez szkody. Ja nie mogłem wiedzieć, co się tam dzieje. Nieprzyjaciel zaś, widząc, że ogień tylko u nas trwa jeszcze, tam rzucił wszystkie swe sily. Cofaliśmy się łańcuchem tyralierskim wraz z jazdą Wróblewskiego, ciągle się odstrzeliwując, a gdy nieprzyjacielska jazda wykonała na nas szarżę, uciekliśmy kilkaset kroków bez zamieszania, przebyli rów, którego nieprzyjaciel nie widział i tam zsiadłszy z koni, przyjęli go gęstym ogniem. Potem znów na koń i w nogi, i znów przy nowej przeszkodzie z koni i do karabinów. W ten sposób wyszliśmy po za obręb strzałów piechoty i uniknęli otwartego starcia z przeważną jazdą, która nareszcie zanie-

chała bezużytecznej pogoni. Późnym wieczorem stanęliśmy w Chorostycie, gdzie już był Krysiński. W tem spotkaniu piechota nasza miała około 20 zabitych i ciężko rannych, jażda nasza kilku, i Wróblewskiego tyłuż. Z mej bandy poległ tu Ziemba. Straty nieprzyjacielskie nie są mi wiadome.

Przenocowawszy poszliśmy ku południowi, marsz jednak był wolnym, bo ludzie a szczególnie konie utrudzone były bardzo. Nazajutrz przeszliśmy Hańsk i stanęli w Rudce pod lasem. Mając powierzone utrzymywanie kasy, odbierałem właśnie pieniądze od nieboszczyka Niecielskiego, gdy strzał się rozległ. Zgarnąłem pieniądze, pan N. znikł bez pokwitowania, a gdym dosiadł konia już ukazali się kozacy, ścigający naszą piechotę. Od strony Hańska w Rudce jest młynek, tam stała w pogotowiu nasza piesza placówka, która przyjęła ogniem kozaków; jeden spadł, inni uciekli. Opuściliśmy wioskę i uszykowali się pod lasem. Nieprzyjaciel już się rozwinął i chociaż placówka nasza szybko zdjęła dyle z mostu na szluzie, przeprawiał się w bród przez rzeczkę. Wnet też ozwały się działa i ogień ręczny. Odstrzeliwaliśmy się z pod lasu. Kartacze i granaty, których nam nie żałował nieprzyjaciel, nie robiły żadnej szkody.

Noc nadechodząca położyła kres obustronnym działaniom. Mieliśmy tylko jednego rannego, któremu granat urwał rękę. Czy nieprzyjaciel stracił kogo prócz kozaka, który padł przy młynku, nie wiem. Byliśmy więc ścigani ciągle bez wytchnienia. Wróblewski rozłączył się z nami w Chorostycie, aby dać fałszywy kierunek pogoni, lecz nieprzyjaciel nie dał się oszukać. Widocznem było, że nową bitwą potrzeba wywalczyć sobie jakiś czas spoczynku. Cofaliśmy się więc ku Lowczy, dla połączenia z oddziałem Ćwieka, który pod dowództwem Kozłowskiego tam dążył. W nocy na ciemnych drogach oba nasze bataliony rozwinęły się i jeden z nich zaszedł, jak się pokazało do Bukowy, musiałem więc całą noc z kilkoma ludźmi z moich szukać go i przyprowadzić. Przejeżdżałem koło tej samej Rudki, którą zajął nieprzyjaciel, tak blisko, żem słyszał

śpiewy żołnierzy. Minawszy tę wioskę usłyszeliśmy w jej stronie kilkanaście strzałów. Kazalem wrócić i znów stanęliśmy pod Rudką, lecz panowała tu cisza zupełna. Później dowiedziałem się, że rekonesans Kozłowskiego, szukający nas, wszedł w nocy do Rudki. Żołnierz nieprzyjacielski odpowiedział mi po polsku i powiadomił, że tu stoi Krysiński. Nagle ci nieszczęśliwi obskoczeni zostali ze wszech stron, dziewięciu z nich poległo, a jeden tylko ocalał. To były właśnie strzały, które słyszałem. Nareszcie oba bataliony nasze połączyły się w nocy i stanęły za Łowczą, w lesie pod Malinówką. Rekonesans nasz znalazł oddział Kozłowskiego i powiadomił o miejscu naszego pobytu. Nazajutrz jeszcze było ciemno, kiedy nam ukazał się ten oddział. Doniósł nam złą wiadomość, że Szumski, nocując w Tarnawce stracił prawie cały swój pluton jazdy i z kilkoma tylko ludźmi ocalał. Powodem tego była zawsze ta sama wada: żołnierze nocowali w stajni a oficerowie we dworze, napadnięto stajnię i wybito lub wzięto tych co się tam znajdowali, gdy nocujący we dworze uciekli.

W chwilę po przybyciu Kozłowskiego ukazał się nieprzyjaciel i rozpoczęła się bitwa. Był to Borozdin, ten sam który przybył podczas bitwy pod Kolanem, i który zaatakował nas wczoraj pod Rudką. Poznaliśmy go zaraz po gorączkowej szybkości ataku. Odrazu kolumny jego z bagnietem w rękę poszły na naszą piechotę, lecz ogień z lasu i zarośli zmusił je do odwrotu. Na naszym prawem skrzydle, jazdy ucierały się z sobą, ja jednak wraz z mą bandą zatrzymany zostałem przez Krysińskiego przy jego boku. Posiadawszy więc z koni wzięliśmy karabiny, których nie brakowało, i wraz z piechotą utrzymywali ogień. Wtenczas można się było dowodnie przekonać, że staranność zawsze na coś się przyda. Konie nasze, t. j. mej bandy, były niesłychanie oswojone, będąc ciągle z nami, śpiąc, kładły głowy na swych panach, na głos przychodziły. Mój koń luźny nigdy nie był na powrozie prowadzony, a jednak nawet w bitwach, w największym zamieszaniu zawsze się swoich trzymał i schwytać nie dał. Na ca-

łym świecie, gdy jazda dragońska zsiada z koni, by pełnić służbę piechotną, to jedna połowa jej zostaje przy koniach i trzyma drugą połowę koni. My zsiadali wszyscy, konie puszczzone luzem nie oddalały się, pomimo że parę razy jazda nieprzyjacielska na nas uderzyła z wielkim wrzaskiem i konie starała się straszyć.

Po za naszą jazdą ustawiony był przyrząd do rzucania rac, które mieszały szyki ulanów rosyjskich. Nieprzyjaciel otworzył ogień kartaczami z czterech dział, od których poległ nasz rakielnik, miejsce jego zajął ktoś inny.

Tymczasem Eytminowicz poprowadził krzakami kosynierów i rzucił się na armaty, kosynierzy zachęceni przykładem tego dzielnego człowieka szli dobrze, wytrzymali jeden wystrzał kartaczami z czterech dział; po drugim pierzełli, właśnie w chwili, kiedy nieprzyjaciel nie miał już czasu dać trzeciego i nie mógł skutecznie bronić swych dział, bo ze wszystkich stron był zaatakowany. Uciekając ponieśli większą klęskę, bo omal nie zostali porąbani przez jazdę, która się za nimi puściła. Eytminowicz zdołał ich jednak w czworobok uszykować i cofać się z nimi do lasu, a tymczasem Kozłowski, przy którym znajdowałem się właśnie z jakimś poleceniem Krysińskiego, kazał mi biedz, aby rakiety użyto. Zastalem znów posadę rakielnika wakującą. Nie wiedziałem z początku jak się wziąć do tego, lecz po dwóch za wysoko i za nisko wyrzuconych, dalsze poszły lepiej i udało mi się kilka rac rzucić w sam środek dragonów, których konie spłoszone dziwnym świstem i szumem, jakie wydawały rakiety, trzaskiem pękających granatów i sypiącemi się naokoło iskrami, zupełnie złamały szeregi. Konie moje nawet luzem stojące tym razem mało ze skóry nie wyskoczyły, stawały dęba, biegały w kółko, chrapały, lecz nie oddalały się i na głos przychodziły do ręki.

Wnet jednak artylerya moja umilkła, kartacze nieprzyjacielskie tak zmiotły stolik, z którego puszczałem race i stolek, na którym stałem, że sam znalazłem się w krzakach dobrze potłuczony. Dosia przyszła do mnie natychmiast, a za nią

Bęben i obwąchały mnie. Siadłem na koń i pojechałem do Krysińskiego.

Bój wrzał coraz gorętszy. Borozdin z atakującego stał się atakowanym. Nasi wyparli go z lasku i prażyli na otwartym polu.

Przybycie nowych sił nieprzyjacielskich, które szły od Lublina za Kozłowskim, zmieniło stan rzeczy. Musieliśmy pozycję zmienić, bo nowy nieprzyjaciel był na naszych tyłach i znów przeszliśmy na broniących się.

Sumiennie muszę powiedzieć, że oba oddziały w dniu tym prowadziły się zupełnie dobrze. Po parugodzinnem usiłowaniu nieprzyjaciel, lubo świeżo wzmocniony, wyparty został z lasu na tem samym prawie miejscu, gdzie przedtem.

Nie tu jednak był koniec tej upartej bitwy. W naszych oczach nowo przybyłe z Dubienki posiłki nieprzyjacielskie zsiadły z furmanek, szykowały się i zmierzały na nas.

Myśleć o zwycięstwie już nie było można, chodziło tylko o to, aby się nie dać zgnieść.

Byliśmy zupełnie otoczeni. Dziesięć czy dwanaście dział i przeszło trzy tysiące ludzi świeżych ścisnęło nasze dwa, około 1.500 ludzi liczące oddziały, od kilku dni w ciągłych utarczkach będące. Przeszło dwóch żołnierzy na jednego rekruta, stosunek dla nas wcale nie obiecujący. Każdy widział, że się trzeba przerznąć lub zginać. Dla dopięcia tego należało opanować wzgórze, leżące przy drodze do Sawina, zarosłe lasem wysokopiennym, i pod zasłoną oddziału tam się odstrzeliwającego cofnąć na Sawin, przejść błotnistą rzeczkę Uher i wejść w lasy na prawym jej brzegu położone.

O wzgórze to od tej chwili głównie walka się toczyła, lecz nieprzyjaciel rozumiał dobrze, że jak je utrzyma, wszystkich nas mieć będzie.

Począł się więc trzeci akt tej walki najuparciej toczony. Ogień obustronny był tak silny, że dawni wojskowi utrzymywali, że nawet w wielkich bitwach na jednym punkcie tak gęsto kule nie padały i ziemia tak szybko trupami się nie

pokrywała. Naczelnicy sami i oficerowie z karabinami w rękę stali na czele swych kompanii na owem smutnej pamięci wzgórz. Nie było okrzyków ani zachęcań, każdy szeregowiec pojmował, że mały ten lasek musi być jego cmentarzem lub portem, w którym znajdzie ocalenie.

Trzy razy wydarł się z piersi naszych okrzyk radości, gdyśmy dotykali tych sosen, tyloma kulami podziurawionych, i tyleż razy słyszeliśmy grzmiące »hurra« nieprzyjaciela, gdy wzgórze to odzyskał.

Już późnym wieczorem po raz czwarty stanęliśmy na tem wzgórzu. Kompania wyborowa z oddziału Kozłowskiego, strasznie zdziętkowana kompania Leszczyńskiego, naczelnicy, oficerowie, część Litwinów z krwią okrytym Eytminowiczem na czele, moja komenda, wszystko w poszarpanych o krzaki łachmanach, czarne od dymu, z resztkami sił wtargnęło znów w lasek. Bardet, Pissaféri, Osser i część oddziału Kozłowskiego odstrzelili się innym kolumnom nieprzyjaciela.

Zaczęła się w samym lasku mordercza bitwa, strzałów już nie było, bo nabijać broni nikt nie miał czasu, kilka tylko dział sypnęło kartaczami i kilkanaście rewolwerowych strzałów huknęło. Zamieszanie coraz większe, mrok zapadał, zgrzyt kos i bagnetów, krótkie wykrzykniki i szelest przyspieszonych oddechów, a wśród tego z początku jeden, potem kilka głosów, potem las cały ozwał się bezładnym chórem: *Święty Boże! Święty mocny!*... Już nie żadna manifestacyjna ani polityczna pieśń. Lud polski w godzinę śmierci przypomniawszy sobie śpiew, z którym od dzieciństwa przed ołtarzami co niedzielię na kolana padał.

Już ciemno było prawie, gdy zostaliśmy panami wzgórza i lasku. Nieprzyjaciel ustępujący jeszcze z własnych swych armat dostał grad kartaczy, które nasi za nim sypnęli, a potem nietylko działa zagwoździli, lecz koła u nich porąbali, bo brać ich z sobą ani myśleć nie można było. Sam słyszałem jak oficer rosyjski zwracając się do drugiego zawołał głośno: *Jej Bohu, molodecy!*

Cała reszta ludzi Kozłowskiego, Pissafery, Osser i t. d. kazali zatrąbić odbój, i deflując przed nami, broń sprezentowali, idąc drogą do Sawina.

Jeszcze grzmiały resztki strzałów z lasku na nieprzyjaciela, ale mnie już tam nie było. Krysiński wysłał mnie z moją bandą w bok Sawina do Lerbasa, aby go powiadomić o tem co zaszło, i aby ruszał według danej mu poprzednio instrukcji. Tu trafiłem na smutną scenę, wprost przeciwną temu, co przed chwilą widziałem. Po energicznych dowodach męstwa i porządku, jakie dali powstańcy w bitwie o wzgórze nad drogą Sawińską, ujrzałem przykład niesubordynacji i zuchwałej swawoli.

Gdym odszukał Lerbasa, przeprowadził on swe wozy i jaszczyki z amunicją przez błotnistą łączkę, na której one zagrzezły. Koło wozów znajdowało się kilkudziesięciu ludzi rozproszonych po bitwie, szumowiny z dwóch oddziałów i część jazdy. Kozacy ścigali nasze furgony, trzeba je było ocalić. Lerbas krzyknął na maroderów, aby się wzięli do wypchnięcia wozów i wynieśli na plecach część ciężaru. W nieładzie i popłochu nie słuchano go, gdy więc na powtórny rozkaz nie stanęli, Lerbas porwał za broń i jednego z nich trupem położył. Przerażeni przykładem wzięli się do roboty, i wozy zostały wydobyte, a więc ocalone. Zabity należał do oddziału Kozłowskiego. Gromejko, były junkier rosyjski, służący w oddziałach Kozłowskiego, powstał na Lerbasa za zabicie owego szeregowca. »Tak zrobię każdemu uciekającemu, gdy furgony moje potrzebują ratunku!« — krzyknął Lerbas, potrząsając dubeltówką. Na te słowa Gromejko odpowiedział strzałem z rewolweru, który położył trupem Lerbasa. Oburzony zawołałem — »aresztuję cię rotmistrzu« — taki bowiem stopień nosił w jeździe Kozłowskiego. — »Więc i ty chcesz także?« — krzyknął wściekły, a zdaje mi się pijany trochę Gromejko. — Moja banda błysnęła szablami. — »W imieniu dobrej sprawy, rotmistrzu, wzywam cię, daj przykład subordynacji i poszanowania prawa!« — odezwałem się. Gromejko spojrzał mi w oczy dzi-

wnie i rzucił na ziemię szablę i rewolwer. — »Kozacy tuż, weź rotmistrzowi broń, może nam się przydać« — rzekłem do niego łagodnie, oddając mu szablę i rewolwer, które mi ktoś podał — »oddasz ją swemu naczelnikowi«. — W kieszeni Lerbasa znalazłem kartkę z marszrutą i podług niej ruszyć kazalem, złożywszy ciało Lerbasa na jednym z furgonów. Gromejko jechał w milczeniu i na twarzy jego malowało się głębokie cierpienie.

Doszliśmy do huty, leżącej pod Rudką, i zastali tam Krysińskiego i Kozłowskiego.

Grundman, wielki przyjaciel Lerbasa, rzucił się na Gromejkę, dowiedziawszy się o katastrofie, lecz zaledwie porwał za rewolwer, Gromejko twarz mu przestrzelił. Zrobił to machinalnie, broniąc się, lecz nie mniej wyrzuciłem sobie, że mu broń zwróciłem, a jemu również wymówiłem, że skoro mu ją oddałem jedynie dla wspólnej obrony przeciw nieprzyjacielowi, to nie miał prawa użyć jej w sprawie prywatnej. Kozłowski arestował go, a cała ta sprawa jedynie dzięki wzajemnej sympatii, jaka oddziały nasze łączyła, została zaspokojoną łatwo i bez dalszych nadużyć się skończyła.

Teraz mogliśmy się policzyć. Straty naszego oddziału w poległych i ciężko rannych wynosiły około 150 ludzi. Jest to niesłychanie wielka proporcya, bo wzięwszy na uwagę, że oddział nasz był już uszczuplony przez bitwy z dni poprzednich, przez stratę plutonu jazdy w Tarnawce i przez odejście kilkunastu Litwinów z Wróblewskim; stosunek poległych do żywych był jak 1 do 4. W oddziale Cwieka czyli Kozłowskiego zginęło około 100, co dawało prawie ten sam stosunek, gdyż oddział ten był mniejszy.

Wspomniawszy o odejściu z Wróblewskim pewnej liczby Litwinów, wypada mi objaśnić, skąd to poszło. W batalionie Eytminowicza wielu było oficerów rosyjskich, którzy nie umieli komendy i pełnili służbę szeregowców, albo też nie pełnili żadnej. Inne tymczasem oddziały miały się obchodzić improwizowanymi oficerami, często nie mającymi ku temu żadnej kwa-

lifkacyi. Postanowiono więc spożytkować tych nadkompleto-  
wych oficerów.

Sądę, że nieprzyjaciel nie mniejsze, a raczej większe  
poniósł straty, gdyż nie dość, że zwycięstwo po dwakroć na  
naszą przechyliło się stronę i tylko przybycie nowych posił-  
ków nam je wydarło, ale i przy ostatecznem wzięciu lasku po-  
niósł znaczne straty, a odwrót z lasku był bardzo krwawy.

Sądziliśmy przynajmniej, że cel został osiągnięty, i ści-  
skające nas koło przerwane, lecz rekonesanse i prywatne wia-  
domości przekonały nas, że przybycie z Chelma nowego od-  
działu zamknęło nas na nowo.

Naczelnicy zwołali radę wojenną. Położenie było trudne.  
Sily nasze znacznie uszczuplone, nieprzyjacielskie zaś wzrosły.  
Zdania były podzielone. Stańło jednak na tem, że piechota  
zostanie podzielona na kilka małych oddziałów, i przy sposo-  
bności będzie starała się przekraść w dalsze okolice i połączyć  
we wskazanych miejscowościach. Jazda zaś wszystka, tak na-  
sza jak Kozłowskiego wyjdzie jawnie, zaatakuje obóz nieprzy-  
jacielski, aby przez wywołanie alarmu dać piechocie sposo-  
bność do wymknięcia się, i robiąc ślad widoczny, pociągnie  
za sobą prawdopodobnie nieprzyjaciela, uwalniając temsamem  
od pogoni piechotę. W końcu mieliśmy kiedyś połączyć się  
z piechotą. Zarzucano wiele temu rozporządzeniu. Niewątpli-  
wie miało ono złe skutki, bo drobne oddziały straciły zmysł  
spójności, a za słabe do stawiania oporu, ciągle tylko uciekały.  
Nie połączyły się nigdy, raz dlatego, że trudno im było tego  
dokonać przy ciągłej pogoni nieprzyjaciela, a powtóre, że do-  
wódcy tych drobnych komend zasmakowali w niezależnem  
dowództwie i nie bardzo mieli ochotę je stracić.

Czy inaczej postępując nie byłoby jeszcze gorzej? Czy  
oddział cały nie byłby zgnieciony, i czyby nie nastąpiły dru-  
gie Jajslawice? O tem wyrokować trudno.

Nie wspomniałem, że z mej bandy zginął tu Szober,  
Czech; Baraniuk ciężko ranny zostawiony w Sawinie, a Pe-  
ster, Węgier, ranny lżej nie opuścił szeregów. Plan postano-

wiony został wykonany i to dość pomyślnie. Po lekkim posilkku siedliśmy na koni i pożegnali się z piechotą, która uszykowana pod bronią i rozdzielona na cztery kolumny w różnych kierunkach w las się zagłębiła. Noc była ciemna, mglista, to bardzo ułatwiało nasze zamiary; niedługo ujrzeliśmy ognie biwaków nieprzyjacielskich. Rozjechaliśmy się w różne strony na odległość kilkaset kroków jeden pluton od drugiego, aby rozerwać uwagę nieprzyjaciela. Na strzał pierwszy mieliśmy uderzyć. Moja banda była na ostatniem prawem skrzydle. Już byliśmy tak blisko od pierwszych ognisk, że dochodził nas szmer rozmawiających żołnierzy. W odległości ktoś grał na harmonijce. Nareszcie ciszę przerwał huk strzału, zabrzmiały nasze trąbki i konie pomknęły z kopyta. W obozie nieprzyjacielskim wszystko wrzało. Pędziliśmy pomiędzy ogniskami i furmankami. Nikt nam drogi nie zastępował. Trąbki i świstawki zwolywały do szeregów uspionych żołnierzy. Gdzieś tam tylko spóźnieni pojedynczo spieszyli do swych komend. Nie szukaliśmy też bitwy i chodziło nam o to, aby się przedostać poza obóz. Co gdy dopełnionem zostało, rozsypaliśmy się w tyralierkę i poczęli strzelać do obozu. Odpowiadano nam stamtąd na wiatr. Jazda nieprzyjacielska podjeżdżała ku nam, myśmy się cofali, a po godzinie może takiej strzelaniny, zatrąbiono »odbój« i dobrym klusem oddaliliśmy się.

Mieliśmy nadzieję, że piechota nasza potrafiła skorzystać z chwili i utorowała sobie wyjście, tak się też stało. Bez wątpienia mogliśmy wyjść wszyscy w komplecie bez rozdzielania się, lecz pogoń byłaby poszła za nami i nazajutrz byłoby to samo, to jest bitwa z przeważnym w trójnasób nieprzyjacielem. Teraz zaś cieszyliśmy się, że wojsko pójdzie za nami, my zaś, jako jazda, odsadziliśmy się daleko, i co najwyżej sama jazda nieprzyjacielska nas dogoni. Tak się też stało.

Stanęliśmy przed wieczorem w Michelsdorfie. Krysiński polecił mi dojechać z moją komendą do Andrzejowa, gdzie stało kilkadziesiąt koni jazdy tarnogrodzkiej, aby im zawieźć rozkaz połączenia się z nami jutro rano. Tu dowiedziałem się,

że w Wereszczynie stoi jeden nasz pluton, nie wiem w jakim celu podczas marszu oddzielony. Dojechałem więc tam, przemocowałem i skoro świt jechałem z nimi do Andrzejowa. Wypredzając z mą bandą na kilkadziesiąt kroków pluton, wjeżdżałem właśnie na dziedziniec Andrzejowski, gdy z przeciwnej strony wpadli tam kozacy. Tarnogrodzcy byli zupełnie nieprzygotowani, konie rozsiodłane biegały po dziedzińcu, jeźdźcy uganiaли się za nimi, słowem zamęt niesłychany. Kilka moich strzałów z rewolweru było hasłem dla jadącego za mną plutonu, aby przyspieszył kroku. Daliśmy ognia, jeden kozak wpadł w krzaki, jeden nasz był ranny, kozacy uciekli, lecz w parę minut byli z powrotem razem z dragonami. Chwila ta dała jednak czas Tarnogrodcom do uszykowania się. Opuściliśmy Andrzejów i odstrzeliwając się cofali przez las na Zawadówkę i Wolę Wereszczyńską. Do Michelsdorfu już nie można było dostać się. Ze wzgórza, gdzie ruiny starej cerkwi, grzmiały armaty, a liczna jazda spuszczała się ku Urszuliniowi. Tak więc wszystkie siły z pod Rudy szły zapewne za nami.

Spodziewając się, że Krysiński cofnie się na Lipniak, tam się udałem, lecz tam już byli dragoni. Cofnęliśmy się klusem do Zienek, a tam na polu pod Komarówką, korzystając z wysunięcia się części ścigających nas, zwróciliśmy w miejscu i uderzyli na najbliższy hufiec. Ułani rosyjscy wytrzymali atak, a gdy nadbiegł drugi oddział dragonów zostaliśmy rozbici. Powtórnie jeszcze na tych polach starliśmy się z nieprzyjacielem, lecz nie z lepszym skutkiem. Las dopiero ucieczkę naszą zasłonił. W tem spotkaniu padł z koniem i zginął czy wzięty został do niewoli z mej bandy Bialecki, a drugi, także z moich, Kubiak otrzymał pchnięcie lancą w bok i w Parczewie zostawiliśmy go. Turaliński i Paszkowski dostali cięcia w twarz i głowę, lecz zostali w szeregach. Ja zaś oberwałem guza drzewcem od lancy, nad okiem, i przez tydzień na prawe oko nie widziałem. Tak więc moja banda już tylko dziewięciu liczyła wraz ze mną. Wyrzucam sobie dotąd to starcie, lepiej było uciekać aż do lasu. Na mój głos stanęła

znaczna i lepsza część, rzuciła się na niesłuchanie przeważną siłę, i straciłem dwóch starych żołnierzy niepotrzebnie. Było to nie z mej winy zapewne, ale z mego niedoświadczenia.

W Białce połączyliśmy się z Krysińskim i Kozłowskim, i przeszedłszy Parczew stanęliśmy na noc w Siemieniu. Straty nasze w tym dniu wynosiły kilkunastu zabitych i rannych.

Następnie pomaszzerowaliśmy do Lubartowa; dalej po małej utarczce przeszli szosę pomiędzy Garbowem i Jastkowem, i skierowali się ku południowi.

Czy kierunek ten był powzięty z myślą przejścia do Galicyi, nie wiem; mówiono, że mamy ułatwić wkroczenie jakiegoś nowemu oddziałowi.

W kilka dni, powolnymi marszami znaleźliśmy się bez przeszkody nad granicą niedaleko Ireny i Borowa.

W mojem przekonaniu należało połączyć się jak najspieszniej z porozdrabnianymi oddziałami i na nowo rozpocząć działania. Trudności wprowadzić były wielkie, a najgłówniejszą z nich zupełny brak oddziałów w Lubelskiem w tej porze; można więc było łatwo zginąć w takim osamotnieniu. Zdaniem mojem jednak należało próbować, a przy zręczności i szczęściu nawet za Wisłę przepawić i oprzeć o jakąś pomocniczą siłę. Niepodobna przewidzieć, czy lepiej było pójść za mojem zdaniem, jednak faktem jest, że oddział nasz po owem rozdrobieniu już się więcej nie połączył i drobne jego cząstki zmarnowały się w małych, bez żadnego celu staczanych potyczkach.

Powracam jednak do dalszego ciągu mego opowiadania. W nocy, mniej więcej około połowy grudnia stanęliśmy we wsi Lipie, nad granicą. Tam któryś z mieszkańców zadenucyował naczelnikowi pewnego starego włościanina jako mającego stosunki z nieprzyjacielem, wydającego transporta broni, donoszącego o ruchach naszych oddziałów i t. p. Oskarżenie oparte było na dość poważnych faktach i stwierdzone przez wielu innych gospodarzy i parę osób z wyższej klasy. Krysiński wcale nie skory do natychmiastowych kar, polecił go areszto-

wać i wziął z sobą. Sama ostrożność nakazywała usunąć go chwilowo z nad granicy, gdzie mógł być szkodliwym. Na tem byłaby się skończyła cała kara. Lecz okoliczności inaczej zrzędziły. Oskarżony, zapewne poczuwając się do winy, był niezmiernie przestraszony. Syn pozostały w domu miał go za straconego, jeżeli spiesźnie nie poda mu ratunku, uwiadomił więc najbliższą nieprzyjacielską komendę i wraz z nią pospieszył w nasze ślady. Po całodziennym wolnym marszu wzdłuż granicy, prawie ciągle widząc placówki austriackie, stanęliśmy na noc w Hucie Krzeszowskiej. Właścicielem czy dzierżawcą był żyd, u niego rozłożyliśmy się na nocleg. Sztab stanął we dworze, my przy koniach na okólniku. Było 14 stopni mrozu, wiatr, ziemia zmarznięta bez śniegu i ślizgawica. Drzemalem jakiś czas przy koniu, lecz mróz i głód strasznie zaczęły mi dokuczać. Przez parę poprzednich nocy odbywałem rekonesansę i podjazdy, i czułem się niewymownie zmęczonym. Wstałem więc i zacząłem się przechadzać, a nareszcie zaszedłem do naczelnika zobaczyć, czy jemu nie lepiej się powodzi. Wszysey spali pokotem na słomie w ciepłym pokoju. Znalazłem trochę wódki i chleba, lyknałem i zaniósłem swoim, a potem znowu wróciłem do dworu, aby się cokolwiek ogrzać. Usiadłem przy piecu i straciłem w części świadomość, co się ze mną dzieje. Słyszałem jak ktoś wszedł i zawołał: »Panowie mamy na karku Rosyanów!« Lecz się nie ruszyłem nawet. Po chwili wbiegł Franciszek i krzyknął mi w ucho: »Panie na koń!« Słyszałem, lecz nie wstałem. Porwał mnie więc, wstrząsnął silnie i prawie wyniósł na dwór. Zimne powietrze ocuciło mnie, wskoczyłem na koń i za chwilę byłem przy Krysińskim. Stał na wysokiej grobli okrytej gołoledzią a spadzistej na oba boki, za nim o kilkanaście kroków moja banda bezemnie, a na mem miejscu przed szeregiem stary Turaliński. Niezmiernie przykro mi się zrobiło, pierwszy raz nie dotrwałem na mem stanowisku i spóźniłem się. Wachmistrz, widząc mnie, ustąpił mi miejsce i cofnął się do szeregu. »Zostań tu, dziś ty, wachmistrzu dowodzisz!« rzekłem i posunąłem się, aby zająć miejsce

w szeregu. Ale stary żołnierz chciał się z dworskością znaleźć i niby nierozumiejąc zawołał: »Cóż to? nie słyszycie, że pan porucznik przed frontem mówi: jak się macie chłopcy?« »Życzymy zdrowia panu porucznikowi!« zabrzmiał okrzyk zwykły. Ja pomimoto powtórzyłem rozkaz i stanąłem jako szeregowiec, bo nie czulem się godnym prowadzić tych ludzi, z których żaden ani razu służbie nie uchybil, gdy ja sam jej tylko uchybiłem. Turaliński tej nocy nas prowadził.

Przed nami slychać było strzały. W kilku słowach dowiedziałem się, że dragoni napadli naszą placówkę w karczmie, zabili pikietę i karczmarza, żyda, który przypadkiem znajdował się na dworze, i chcieli karczmę z naszymi podpalić. Posłano im pomoc, a my czekali w pogotowiu. Jakiś chłopak dał nam znać, że i piechota podąża za dragonami, nie było więc ani chwili do stracenia. Uwolniwszy obłązonych w karczmie, należało ustąpić jak najspieszniej. Pluton wysłany w pomoc zdołał ich uwolnić, dał im czas się na koń, następnie uderzyli wspólnie na garstkę dragonów, odparli ją, lecz wkrótce przez większą siłę obskoczeni, pierzchli w naszą stronę ścigani z bliska. Naczelnicy chcieli odeprzeć atak, aby zyskać na czasie, a potem cofnąć się; lecz wołania ich, aby wstrzymać uciekających na nas nie odniosły skutku; nie łatwe bo to zadanie wstrzymać jazdę w poplochu. Pomimo więc usiłowań dwa pierzchające plutony rozbily nas zupełnie i zawdzięczamy tylko ciemności nocy, że dragoni nie widzieli naszego zamieszania i nie skorzystali z niego, lecz zatrzymali się na paręset kroków przed nami. Położenie nasze pogorszała jeszcze niesłychana ślizgawica, konie padały i zsuwały się w rowy. Moja banda pod tym względem była jeszcze najszcześliwszą, bo tego samego dnia miała świeżo ostrzone podkowsy. Temu więc może zawdzięczam, że nie padłem, gdy koń mój uderzony silnie przez drugiego rów przesadził, i to rów tak szeroki, że z trudnością napowrót do swoich się dostałem. Tak rozbici musieliśmy odbiedz kilkaset kroków, zanim uformowaliśmy się, a dragoni tymczasem znów z okrzykiem rzucili się ku nam. »Kto chce

niech ucieka do djabła, a znajomi do mnie!» krzyknął Kozłowski, i kolumna ruszyła kłusem z obu naczelnikami i moją bandą na czele. Okrzyk »marsz! marsz!« Franciszek uderzył w trąbkę i puściliśmy się galopem. Lubo już zapróbowalem bitwy na białą broń pod Rososzem, lecz tam wpadliśmy na ułanów już pierzchających. Pod Zienkami zaś starcie na naszą wyszło niekorzyść. Teraz więc pierwszy raz byłem w prawdziwej szarży kawaleryi, to jest takiej, gdzie żadna ze stron nie ustępuje i całą siłą oba hufce uderzają na siebie. Ziemia pod nami ślizka i twarda, jak szkło, aż iskry wydawała. Przekonałem się, że prawdę powiedział generał Jomini, że koń nie jeździec dobrą jazdę czyni. Klacz moja, na której siedziałem tej nocy, była dzielna i bardzo silna w nogach, śmiało więc pędziła. Starcie zrobiło na mnie wrażenie, jakiego się doznaje uderzywszy czółnem o ład. Dosią moja uderzyła silnie o jakiegoś przeciwnika, zadrzęła podemną, dostała jednak na nogach i przeskoczyła padającego konia, którego wszystkie cztery podkowy do góry zwrócone ujrzałem. Jeździec zaś aż w rów się potoczył i usłyszałem słowa jakby z westchnieniem wymówione: »Praszczaj duszo moja!« Nastąpił ścisk, jak na odpuszcie. Krótkie krzyki: »Rubitie małodcy!« i »Bij, siecz!« mieszały się. Wpakowałem Dosi ostrogi i rąbałem na prawo i lewo, szabla moja spotykała szable dragońskie, a nie ręczę czy i ich ciała, ciemno było zupełnie. Słyszałem: »Milion - set - fur - beczek - batalionów - okrętów - djablów!« Turalińskiego i: »Stąd wedle ciebie tysiąc głów poleże, stąd drugie tysiąc« Markiewicza, lecz nie prawie w ciemnościach nie widziałem. Trwało to bardzo krótko, krócej może niż opisuję, i znaleźliśmy się w kilkunastu po za nieprzyjacielem, czyli żeśmy go na wylot przejechali. Krysiński, który był został za nami powtórzył szarżę, a my zwróciwszy się z drugiej strony w przeciwnym kierunku uderzyliśmy i torowali sobie drogę wśród nieprzyjaciela, wreszcie połączyliśmy się. Dragoni byli chwilowo odparci i gorzej na tem starciu wyszli, głównie z tego powodu, że konie ich, widać gorzej kute, padały. My bowiem otrzymali niedawno

z Galicyi śrubowane haule do podków i zapas tych hauli, można więc było ostrzyć je nie rozkuwając koni.

Zatrąbiono odbój i ruszyliśmy klusem ku lasowi, obawiając się nadejścia piechoty. Już po za wsią zsiadłem z konia, aby dociągnąć popręgi, które mi się cokolwiek luźne wydawały, gdy z za chałupy wyskoczyło kilku kozaków. Jeden był tak blisko, że nie dalby mi wsiąść na koń, gdy Bogusławski przyskoczył i położył go strzałem z rewolweru.

Dojechawszy do lasu porachowaliśmy się, brakowało nas niewiele, o ile pamiętam ośmiu, a pomiędzy nimi Weber, bardzo przyzwoity chłopiec, student lwowskiego uniwersytetu, lecz ten znalazł się później, gdyż konia straciwszy zdołał, korzystając z ciemności, ocalić się. Z mej bandy poległ tu Michałski, a Kański, pruski żołnierz, dostał szablą po uchu. Pokresowanych było sporo, około piętnastu, lecz ci obowiązawszy się pozostali na koniach. Było w tem starciu kilka szczególnych zdarzeń. Grodzki, Litwin, były junkier rosyjski, znany z tego, że nosił mundur oficera żandarmeryi, który niewiem skąd dostał, w starciu na grobli padł ugodzony w twarz jakimś tępym narzędziem, zdaje mi się kolbą dragonńskiego karabinka. Gdy się chciał schronić, schwytny został przez kozaków i zaprowadzony do oficera. Tu Grodzki oświadczył, że jest oficerem żandarmeryi, wziętym przez powstańców na Litwie i dotąd nie mającym sposobności wrócić do swoich. Oficer wierzył w połowie i kazał jednemu z kozaków odprowadzić go jeszcze dalej, widocznie do starszego stopniem. Kozak konwojujący Grodzkiego zatrzymał się nagle, w istocie slychać było zbliżanie się kilku lub kilkunastu koni. »Tu niema naszej jazdy tylko piechota« — powiedział kozak — »co to może być?« »Był tu drugi oddział powstańców, może to oni« — dodał Grodzki — »uciekajmy!« Zaczęli więc uciekać, kozak konno, więc prędzej, a Grodzki wolniej, bo piechotą, gdy odległość między nimi powiększyła się, jeniec schował się w jakieś zarosła i wrócił do nas. Ów zaś oddział powstańców, była to stadnina, która się wykradła, gdy kozacy pładrowali po dwor-

skich budynkach, podczas bitwy na grobli. Przytaczam tę anegdotę jedynie dlatego, że Grodzki był chłopiec przyzwoity, skromny i przez Litwinów ceniony, mam więc powód wierzyć w jego prawdopodobność.

W naszym reku zostało kilka nieprzyjacielskich koni. Pester z mej bandy przyprowadził jednego bardzo dzielnego, należącego do podoficera dragonów, jak to wskazywał galon na czapraku.

Najważniejszym jednak znaczeniem tego zdarzenia było, iż był to pierwszy napad nieprzyjacielski, dokonany w nocy. Dotąd nieprzyjaciel nie korzystał nigdy z ciemności, aby na nas uderzyć. Ogólnie sądzono, że noc sprzyja raczej partyzantom jak regularnemu wojsku, mnie jednak zdaje się, że niema w tem ostatecznie prawdy. Jeżeli partyzant zna lepiej miejscowość, to w nocnej porze ma szans więcej, ale w ogóle żołnierz regularny łatwiej da się w czasie zamieszania zszeregować, niż partyzant. W ogóle korzyść jest zawsze po stronie atakującego, wyjąwszy, jeżeli napadnięci zostali uprzedzeni i przygotowali zasadzkę.

Postanowiono, że naczelnicy z kilkunastoma ludźmi wejdą do Galicyi i za dni kilka wrócą na czele jakichś nibyto gotowych oddziałów. Jazda nasza tymczasem uwijać się będzie nad granicą i czekać na ich powrót, a tymczasem przeprowadzać broń, jaką nasze galicyjskie władze wysyłać mają.

Później przekonałem się, że owo tak często przez innych dowódców praktykowane przechodzenie granicy w celu zebrania oddziałów lub wzmożenia ich, było tylko ludzeniem samego siebie. Znużonego trudami i niebezpieczeństwami człowieka kusila nadzieja spoczynku za granicą, a z drugiej strony obowiązek nakazywał zostać przy tych, którzy mu zaufali. Wymyślał więc sobie konieczny interes w sprawie narodowej i szedł do Galicyi. Nie zawsze wracał z tej Kapui, a jeżeli wracał to pewno ze zmniejszonym oddziałem.

Nad rankiem, tej samej nocy, napadliśmy w Mocnotach oddział dragonów i kozaków, o których przypadkiem dowie-

dzieliśmy się. Żle oni się pilnowali, spali po chałupach i stodołach, a chłopów na pikietach popostawiali. Właśnie jeden z takich chłopów nas uwiadomił. Byli to ci sami, a raczej część tych samych, którzy nas w Hucie Krzeszowskiej kilka godzin temu napadli. Był to więc odwet, czyli według systemu Krysińskiego »niespodzianka«. Miał bowiem zwyczaj mawiać, że »partyzantka to sama uprzejmość, to wymyślanie coraz nowych siurpryz nieprzyjacielowi«.

Gdyśmy wpadli do wsi, jakiś żołnierz nas zobaczył i dał wystrzał. Na wpeł ubrani dragoni i kozacy skakali na konie i uciekali, bo zebrać się nie mieli już czasu. Niektórzy nawet nie mieli czasu zabrać broni, bośmy ją potem znaleźli. Padło ich kilku, a z naszej strony nikt, nawet zdaje mi się, że nikt nie był ranny. Koń mój tylko, biedny Bęben, na którego przesiadłem się, aby Dosi dać rekreację, dostał w samo czoło z odległości dwu kroków kulą z rewolweru od oficera kozackiego. Kiedym padał z koniem, Turaliński rozplatał na dwoje głowę zabójcy Bębna, krzyząc swym tubalnym głosem: »A nieszczęście! ta psia wiara takiego konia zabiła! jego ogon wart był więcej jak twoja cała familia«.

Więcej on z pewnością żałował koni niż ludzi, i chociaż dawał mi dowody przywiązania, jednak mówiłem mu za chwilę, siedząc na Dosi: »Przyznaj, wolałbyś, żeby mnie ta kula trafiła, a nie Bębna«. — »To co innego« — rzekł — »ale niech pan porucznik sam powie, że tylko Dosia i mój Indyk warte Bębna, nieboszczyk Wojciech był czwarty, ale co dobre, to się nie uchowa«... Ten Wojciech, był to koń, którego stracił pod Kolanem. — »To widać dlatego jeszcze uchowaliśmy się« — dodałem. — »To znów co innego, ale nie daj Boże w złą godzinę wymówić!« — i tu następowała dysertacja o złych i dobrych godzinach, o wróżbach, mentalu i t. p. po raz setny może.

O świcie obaj naczelnicy, kilku oficerów i ja z moją bandą, pożegnawszy oddział, weszliśmy do Galicyi.

Naczelnicy pojechali nie wiem gdzie, mnie zaś Kozłowski dał listre komendacyjny do pp. Horoch, w Piiskorowicach

nad Sanem. Bandę moją rozkwaterowałem w dobrach i lasach choszewickich, a sam poszedłem spać u jakiegoś ekonomy. Spałem 26 godzin. Potem z doktorem Krasiekin, którego los mi za towarzysza wyznaczył, ruszyliśmy w drogę.

Droga do Piskorowic zajęła nam cztery dni, lubo niema więcej nad 10—12 mil. Lecz przez San trzeba się było przeprawiać dwa razy i za każdym razem wyszukiwać sposobu, aby wyminać strażę, które na przewozach stały. Pierwszego dnia mej wyprawy nie pamiętam, drugiego zaś przeprawivszy się przez San za pomocą jakiegoś poczciwego oficera Polaka, stanęliśmy na noc w miasteczku Rudniku u proboszcza. Tu dziwnem mi się wydało, że tłumy powstańców w bardzo porządnym mundurach przechadzały się za pan brat z żołnierzami austriackimi i nikt ich nie zatrzymywał. Należeli oni do oddziału jakiegoś Dąbrowskiego, który czekał stosownej chwili, aby wejść do Królestwa. Na chwilę tę czekał podobno niesłychanie dawno, a gdy wszedł, w parę godzin spostrzegł się, że i ta chwila nie jest właściwa, wrócił więc natychmiast do Galicyi i czekał dalej. Ale o tem pomówię poniżej na właściwym miejscu.

Trzeci nasz nocleg wypadł w Leżajsku, w klasztorze OO. Bernardynów. Położenie klasztoru było niezmiernie ważne dla sprawy powstania. Gmach otoczony murami, jak forteca, mający obszerne lochy, mnóstwo kryjówek, położony za miastem, a blisko granicy, mógł i rzeczywiście oddawał powstańczym oddziałom wielkie usługi. Duszą wszystkiego był ksiądz Jan, mający pełno stosunków, grający ważną rolę w organizacyi narodowej i przez gwardyana wyróżniany. Był to człowiek uprzejmy i miły w obejściu, sympatyczny i, jak mi się zdawało, bardzo świat i ludzi znający. Mieszkanie księdza Jana składało się z dwóch pokoików, skromnie, lecz z pewnym gustem umebłowanych. Tam w towarzystwie gwardyana i paru księży przepędziliśmy wieczór przy bardzo dobrym i nie młodym wegrzynie. Zauważyłem, że nasz gospodarz często wstaje, wyprawia jakieś polecenia, że często również, pomimo późnej

pory, odbiera wiadomości, z którymi, pomimo obecnego gwardyana, do niego się wprost odnoszą. Nie był to ksiądz Marek, ale raczej na małą skalę biskup Krasiński.

Rozmowa głównie toczyła się o powstaniu, nie kryłem wad tego ruchu, które były liczne, nie kryłem również niepowodzeń. Dziwiło mnie, że za każdą niepomyślną wiadomością, jaką udzieliłem księżom, dostałem pod stołem szturchańca. Skorzystałem więc z chwili i wyszedłem do drugiego pokoju. Tu ksiądz Jan powiedział mi: »Wiedz, że jedynie nadzieja powodzenia może utrzymać większą część tych ludzi, a mianowicie przełożonego na drodze, którą idą są użytecznymi sprawie. Gdyby wiedzieli, że upadniecie, lękaliby się najmniejszej udzielić wam pomocy. Nie żądam, abyś zmyślał, rozwódź się jednak więcej nad objawami pomyślnymi, a przemilczaj, jak możesz, niepowodzenia«. — Zastosowałem tę radę w dalszym ciągu, przyznając jej w części słuszość, lecz zarazem żalując, że często za daleko ją posuwali ludzie, działający w owej epoce. Nazajutrz po Mszy świętej przebyliśmy powtórnie San i stanęli w Piskorowicach. Znalazłem tu kilku znajomych z moich okolic, których losy wojny do Galicyi zaprowadziły. Rodzina Horochów mieszka i na Podlasiu, Podlasiacy więc jako do niezupełnie obcego domu jechali. Gośćmi tymi byli: Zakrzewski, brat naczelnika konnego oddziału, Łaski, Kasperski i Jasiński, wszyscy trzej powstańcy, pomimo że ostatni od dzieciństwa miał złamaną nogę i chodził na kulach, a do siodła musiał się przywiązywać i przytraczać swoje szwedzkie. Wszyscy byli to mieszkańcy tych samych co ja okolic. Oprócz nich Antoszewski, z oddziału Kozłowskiego, który razem ze mną przeszedł granicę, lecz inną do Piskorowic zdążył drogą. Ojciec jego miał majątek w Gostyńskim, sam jednak dawniej kraj opuścił i zaciągnął się pod komendę Sadyka-Paszy (Czajkowskiego) do kozaków sultańskich. Powstanie dopiero powołało go do kraju. Był to niezmiernie wesoły i przyjemnego humoru człowiek, i jak najlepszy kolega. Był tu czasowo i jeden Galicyanin, Wileżyński, który sympatycznym obejściem odrazu do

nas przypadł. Doktor Krasicki może najmniej do nas był dopasowany, lecz tenże wyprawiony został przez p. Horocha do jakiegoś domu w sąsiedztwo z listem polecającym. Przyjęci byliśmy w tym zacnym domu bardzo gościnnie. Pana nie było, gdyż bawił najczęściej w innym majątku, tylko pani z trzema córkami, z których dwie panny i jedna mężatka separatka.

Przyjemnie przepędziłem kilka dni w Piskorowicach, lecz było za liczne towarzystwo, to mogło zwrócić uwagę władzy. Pani więc zaproponowała mi, żebym pojechał z nią do cyrkulu do Sieniawy i tam zameldował się jako wychodziec z Królestwa, uciekający przed wojną. Tak się zrobiło. Przy pomocy pań, które same mnie do Sieniawy zawiozły, otrzymałem pozwolenie na przebywanie w Galicyi, byle nie w żadnym z pogranicznych cyrkulów. Za poradą pań wybrałem Łańcut, jako punkt najbliższy Piskorowic, zabawiłem jednak jeszcze dni kilka w tym gościnnym domu i dotąd miłą pamięć o nim zachowałem.

Nareszcie trzeba było jechać na moje legalne mieszkanie, bo władze mogły zapytać tam o mnie. Wyjechałem więc razem z Kasperskim, który także się usuwał do jakiegoś innego punktu, i razem przybyliśmy do Trynczy. Młody Kellerman, syn właściciela, był także powstańcem i zastaliśmy go w towarzystwie kolegów z oddziału, bo w tej chwili więcej było powstańców w Galicyi niż w Królestwie. Nazajutrz stanąłem w Łańcucie, i pierwsza sympatyczna osoba, którą na dworcu kolei spytałem o pana Olszewskiego, dyrektora cukrowni, była nim samym. Ulokował mnie u siebie i ułatwił formalności urzędowe co do meldunku.

Nie więcej jednak jak tydzień bawiłem w Łańcucie, gdyż odebrałem od Krysińskiego wiadomość, że wszystko jest gotowe, by na nowo zacząć trudy partyzantki.

Wzywał mnie, abym się stawił w Kochanach, miejscowości nadgranicznej, blisko punktu, gdzie weszliśmy do Galicyi, i dodawał, że nie potrzebuję się o nic turbować, gdyż konia i rynsztunek znajdę na punkcie zbornym.

Ruszyłem z powrotem tą samą drogą. W Trynczy znalazłem liczne towarzystwo powstańcze; była tam gra w karty, z początku wist a potem sztos. Nie jestem karciarzem i nie miałem wiele pieniędzy, więc jedynie dla niepsucia kompanii małemi stawkami grę podtrzymywałem; lecz bohaterem dnia tego był Hanytkiewicz, syn unickiego proboszcza z Międzyrzecza, który służył w jeździe Krysińskiego, ten wygrał około 150 rubli; po grze zawołał: »Skoro to są pieniądze wygrane od powstańców, niech więc idą na korzyść powstania, kupię sobie za nie konia, bo mój już zupełnie zniszczony«. Wnet mu nastęczono wierzchowca od jakiegoś oficera huzarów w sąsiedztwie, i nazajutrz targ był skończony, później jednak niedobrze mu się ten koń przysłużył, jak się to w mem opowiadaniu pokaże.

Różnemi drogami pojechaliśmy do Kochan, ja na Piskorowice; czułem się jednak cierpiący, jak to zwykle bywa, gdy po wielkich trudach zacznie się używać spoczynku.

Namawiano mnie, żebym został; pojechałem jednak. W Leżajsku było jeszcze gorzej. Ksiądz Jan dał mi prawdziwie żołnierskie lekarstwo, to jest kazał wypić szklanekę starego wina i iść spać. Po różnych manowcach stanąłem w Charzewicach u rządcy tych dóbr, pana Gruszczyńskiego, już późno w nocy. Ten radził mi zatrzymać się, gdyż Krysiński jutro tu będzie; poszedłem więc spać, a na drugi dzień już zupełnie słabym się czułem. Gospodarstwo moi zajęli się mną troskliwie i zaczęło mi się robić lepiej, gdy przybył Krysiński z kilkoma towarzyszami, a między innymi z Hanytkiewiczem.

Widok znajomych, z którymi dzieliło się niebezpieczeństwa, podziałal lepiej jak łacińska kuchnia pani Gruszczyńskiej. — »Jak przejdzie granicę, będzie zdrów jak ryba« — zdecydował Krysiński, i pojechaliśmy do Kochan.

Punktem zbornym było mieszkanie nadleśnego, wśród obszernych lasów położone. Nieopodal stały budynki gospodarskie. Tu znalazłem pozostałych wszystkich siedmiu z mojej bandy, zastałem Dosię i wszystkie te same konie, tę samą sza-

blę, rewolwer, kulbakę, mantelzak, mundur zimowy, tylko inny, bo przez ten czas chcąc, aby moja banda odznaczała się, kazalem ich kożuski pokryć szaraczkowem ciemnem sukniem z czarnem szamerowaniem i okładaniem czarnymi barankami, oraz sprawić czarne baranie czapki. Wyekwipowaniem tem zajął się Turaliński. — Do tej pory pamiętam uczucie, jakiego doświadczyłem, witając się z tymi towarzyszami trudów; i oni lubo niedawali się, jednak oczami mrugali, a Dosia z cicha rżała. Krysiński miał rację, byłem zdrów zupełnie.

Już był wieczór i głód czuć się dawał, Krysińskiego nie było, pojechał jeszcze gdzieś w sąsiedztwo. Całą nadzieją naszą byli państwo nadleśni. Nareszcie etykieta zwalczoną została, zaproponowaliśmy panu nadleśnemu, aby nam dał chleba i wódki za wynagrodzeniem, jeżeli go żądać będzie. Oświadczył jednak, że nie niema w domu. Nie pozostawało nam jak wyperswadować sobie i czekać.

Wśród najsmutniejszych dumań zdrzemałem się, gdy nagle poczułem przyjemną woń pieczeni. Bałem się z początku otworzyć oczy, aby nie doznać rozczarowania. Lecz szmer radosny i wesołe okrzyki przemogły moją obawę, i z jakąż przyjemnością ujrzałem na półmisku gęś z jabłkami. Turaliński, jak zawsze najprzemysłniejszy, wyszedł, że w ustronnej stancyjce aż na poddaszu coś się gotuje; jakim sposobem tam się dostał, niewiem, dość że gęś nam przyniósł. Zaprośiliśmy gospodarza i podzielili z nim sumiennie, za gęsią znalazł się gąsiorzek nalewki, chleb i kilka butelek piwa. Humor się poprawił i oczekiwanie było przyjemniejsze. Niezadługo goniec od Krysińskiego przyniósł nam rozkaz udania się w głąb lasu. Tu zastaliśmy kilkunastu z naszych i z oddziału Kozłowskiego, jego samego nie było, lecz natomiast był Ówiek (Cieszkowski Kajetan) z żoną, kobietą bardzo czynną w sprawie powstania. Oddział Dąbrowskiego, ten sam, który widziałem w Rudniku, stanowił główną siłę, około 200 ludzi piechoty. Natomiast dowiedzieliśmy się, że jazda nasza, którą opuściliśmy wchodząc do Galicyi, nie mogła się utrzymać nad granicą i w części

rozprószoną została, w części zaś w głąb kraju pomaszerowała. Tej samej nocy przeszliśmy granicę i nad ranem byli już ze dwie mile w głąb Królestwa posunięci. Tu rozpoczęły się rozprawy w oddziale Dąbrowskiego nad tem, że ładunków jest mało i że one do karabinów nie pasują, równie jak bagnety; a ponieważ mieliśmy wiadomości, że kozacy są w pobliżu, więc Dąbrowski oświadczył, że nie może ryzykować spotkania i dalej nie pójdzie. O ile to było prawdą, nie wiem, pojąc jednak było trudno, dlaczego Dąbrowski dopiero teraz spostrzegł niedokładność swego uzbrojenia; bądź co bądź oświadczył, że wraca do Galicyi. Krysiński i Ówiek powiedzieli, że do Galicyi nie wrócą i odezwali się do nas z zapytaniem, kto chce im towarzyszyć. Wystąpiło nas dwudziestu kilku, to jest ci, którzy dotąd pod nimi służyli. Pożegnaliśmy pana Dąbrowskiego i ruszyli kłusem. Należało zrobić marsz bardzo forsowny, aby dostać się w Podlaskie, gdzie mieliśmy nadzieję spotkać resztki naszych oddziałów. Rzeczywiście zrobiliśmy pochód nadzwyczajny, bo przed świtem ruszywszy z nad granicy, stanęliśmy na wieczór w Brussie we Włodawkiem. Było przez czas marszu kilka spotkań z kozakami; stosownie do ich sił, albośmy odpierali, albo uchodzili. W tych starciach straciliśmy dwóch, a między nimi był Kański z mej bandy, żołnierz pruski, padł koło Żółkiewki. Tak więc owa banda już tylko siedmiu wraz ze mną liczyła. Dwóch, a między nimi jakiś doktor galicyjski, nie mogło znieść tak forsownej jazdy i zostali w drodze; jeden zaś Węgier od Ówieka padł z koniem i nogę złamał. Natomiast kilku z dawnych połączyło się z nami w drodze. Ten tak szybki pochód odbyliśmy w ten sposób, że co kilka wiorst zrobionych tęgim kłusem zsiadaliśmy i konie przeprowadzali w rękę. Jeżeli prawdą jest co powiedział Napoleon I., że zwycięstwo jest w nogach żołnierzy, to zaiste powinniśmy byli świat podbić.

Później dowiedzieliśmy się, że Dąbrowski właśnie wpadł na przeważające siły nieprzyjaciela i został rozprószony.

W Brussie zostaliśmy serdecznie przyjęci, gdyż Ćwiek był bratem właścicielki, a była to wigilia Bożego Narodzenia. Nie było nam jednak dozwolono podzielić się opłatkiem w tym zacnym domu, gdyż wnet po naszym przybyciu przyjechała córka naszych gospodarstwa z mężem i dziećmi, i dowiedzieliśmy się, że Borozdin stoi w Lipówce, t. j. o milę, że ich zatrzymywał i że prawdopodobnie przyjdzie do Brussa. Ruszyliśmy więc do Wołoskowoli, gdzie stała jazda litewska pod Wróblewskim, i razem z nimi jeszcze tego wieczoru, czyli raczej nocy do Seyna, gdzie zastaliśmy piechotę litewską i część naszej pod dowództwem Sienkiewicza.

Tu dowiedział się Krysiński, że za opuszczenie oddziału ma odjęte nad nim dowództwo, i że kazano mu udać się do Galicyi, gdzie obejmie dowództwo nad nowoformującym się oddziałem.

Zakomunikował nam to, a my postanowili go nie opuszczać. Zostaliśmy więc tułaczami. Ćwiek został z nami.

Nie przeczę, że Krysiński mógł zgrzeszyć, ulegając pokusie wypoczynku w Galicyi, lecz z pewnością każdy inny miał więcej tego rodzaju grzechów na sumieniu. Więc prywatna i niska ambicya wyzyskały ten fakt, aby z podwładnych stać się naczelnikami. Bądź co bądź Krysiński miał zaufanie u prostych ludzi; widząc go zawsze w najsilniejszym ogniu i w pierwszym szeregu, z czerwoną wstęgą na piersiach, konno pomiędzy piechotą, tuż obok sztandaru, a zatem ściągającego na siebie wszystkie strzały, a pomimoto nigdy nie draśniętego nawet, mieli go oni za jakąś legendową postać. Zmarnowanie więc jedyne nazwiska popularnego na Podlasiu było wielkim błędem i dowodziło, że powstanie kończy się rzeczywiście.

Zadanie dostania się do Galicyi nie było łatwym. Oddziałów naszych coraz mniej, wojska coraz więcej. Taka gromadka, jak nasza, dwudziestu ludzi licząca, zaledwie wystarczała na strzeżenie samej siebie, byliśmy więc ciągle pod bronią. Konie już się zupełnie nie rozsiodływały, a nawet rzadko można było zwolnić im popręgi. Kolej wart, pikiet, dyżurów

powtarzała się ciągle z utrudzającą szybkością. Szczęściem był to wybór ludzi, więc służba szła porządnie, a pomimo to jednak kto wie czy nie byłibyśmy padli ofiarą, gdyby nie pani Cieszkowska, której niezmordowanej czujności i działalności zawdzięczamy wiele. Co chwila wpadała ona do nas pod różnemi przebraniami, co chwila znów nas opuszczała, aby przebiec okolicę; a ile razy była zatrzymana, ile razy się wymknęła, to nawet zliczyć niepodobna, ocalenie zaś swoje a zatem i nasze zawdzięczała jedynie swej przytomności i odwadze.

Pomimo zbroceń pani Cieszkowskiej, muszę jej oddać tę sprawiedliwość, przekonany bowiem jestem, że jej zawdzięczam, i to nie raz, życie lub wolność na równi z innymi towarzyszami broni. Wszyscy czuli, czem była dla nas ta opieka, dlatego też pani C. miała wielką miłość naszego oddziałku, miłość połączoną ze szacunkiem, bo wtenczas nic jeszcze, u nas przynajmniej, jej nie zarzucano. Sumiennie mogę powiedzieć, że każdy z nas byłby się sto razy dał porąbać dla ocalenia jednego włosa z jej głowy.

Pewnego razu niedaleko Starościna jechałem sam jeden w przedniej straży, wyjeżdżając z lasu ujrzałem pędzący ku mnie wózek jednokonny a w nim kobietę, dającą znaki rękoma. Oddział jeszcze nie był wysunął się z lasu, nie wiedząc, co znaczą te znaki, zatrzymałem się i na wabika zakrakałem jak wrona, co było znakiem umówionym, aby oddział stanął. Wtem poznałem w uciekającej kobiecie panią C. i jednocześnie ujrzałem pędzących za nią kilkunastu kozaków. Krzyknąłem więc: »Za mną, marsz! marsz! ratujcie Matkę!« (tak ją bowiem nazywano) i dawszy ostrogi puściłem się ku wózkowi, a za mną suche gałęzie trzeszczały pod nogami koni, pędzących galopem. Nie było chwili do stracenia. Wózek pędzący w poprzek zagonów zламаł się, i gdym stanął koło niego, kozacy nie więcej jak 50 do 60 kroków byli oddaleni i ciągle strzelali. Pani C. jednym skokiem znalazła się na przodzie mej kulbaki, gdzie burka zwinięta i przytrokowana stanowiła niezłe siedzenie, uchwyciła się mnie i wzięwszy mój rewolwer, przez

moje ramię mierzyła do zbliżających się kozaków, a ja tymczasem pędziłem co sił ku swoim. Oddział cały tymczasem nadbiegł i odparł kozaków, a przed większą ich siłą, która się w galopie zbliżała, poczciwe konie nas uniosły. Dotąd jestem zdumiony, jak pani C. potrafiła tak zręcznie wskoczyć na mego konia, bo ja tylko tyle jej w tem pomogłem, że ustąpiłem jej strzemień, na którym mogła, siadając, oprzeć nogę.

Wędrówka nasza nie trwała długo, bo od Bożego Narodzenia do 20-go mniej więcej stycznia, lecz napadów w tym krótkim czasie było pełno.

Pod Miechowem w jakiejś wiosce, zatrzymawszy się na chwilę dla wypicia po kieliszku wódki, ujrzeliśmy się nagle prawie otoczeni przez tłumy dragonów, ułanów i kozaków. Półgodzinna jazda, już nie galopem ale *ventre à terre*, dopiero powiększyła o tyle odległość pomiędzy nami a pogonią, żeśmy mogli dać koniom wypoczynek.

W tej przygodzie o mało nie zostawiliśmy Ćwieka, nie spostrzegłszy się, że wszedł z Gromejką do karczmy. Gdy uciekali ku nam inną drogą i przejeżdżali koło jakiegoś odosobnionego domku, Gromejko pędzący tuż za Ćwiekiem, wywijając szablą, krzyknął przez figle: »nie ujdzieź!« Wtem kobieta, znajdująca się na progu tego domu, rzuciła się tak gwałtownie przed konia Gromejki, że ten o mało z siodła wysadzonym nie został. Gdyby to był prawdziwy Rosyanin, za jakiego widocznie go wzięła, byłaby drogo przypłaciła swe dobre serce.

W jakiejś kolonii niemieckiej w Lubartowskiem, w Mandaniu, napadli mnie kozacy, objeżdżającego pikiety, i prawie razem ze mną wpadli do wsi. Dobre nogi naszych koni i tu nas ocalily.

Ćwiek cierpiący gdzieś pozostał, Gromejko także. Błąkaliśmy się dalej pomiędzy polującymi na nas oddziałami, które wiedząc, że w tej szczupłej garstce znajduje się Krysiński, tem uparciej nas ścigały.

Najtrudniejsze jednak nasze położenie było w Sernikach nad Wieprzem. W wigilię Nowego roku wieczorem stanęliśmy

na tartaku w dobrach Lubartowskich, skąd w nocy poszliśmy do Sernik i przededniem tu stanęli.

»Trafiacie panowie na resztki po Rosyanach, jeszcze samowar po nich nie ostygł, poszli do Lubartowa, nie wiem czy uszli pół mili« — rzekł do nas tamtejszy rządca, wychodząc na ganek.

Zdawało się nam rzeczą arcy-bezpieczną być na tyłach nieprzyjaciela. Skoro byli tu dopiero, więc może nie przyjdą tak prędko. Część nas weszła do domu, część stała przy koniach; potem zmieniliśmy się. W tej drugiej połowie ja byłem; zaledwie dotknąłem się herbaty, rozmawiając z dawnym naszym polowym aptekarzem, Sobolewskim, który tylko co wyszedł z kryjówki i przypasując szablę zabierał się towarzyszyć nam, gdy padł strzał. Wybiegliśmy na ganek, kozacy już byli na podwórzu; nie zdążywszy jeszcze wsiąść na koń musieliśmy już strzelać z rewolwerów i karabinków. Szczęściem, że garstka nasza składała się z ludzi już otrzaskanych z niebezpieczeństwami, zawsze więc pierwsze uderzenie nieprzyjaciela było odparte i w najgorszym razie dawało czas do ucieczki. Tak i tu się zrobiło, kozacy zostali wyparci z podwórza. Krysińskiemu podano konia, ruszyliśmy przez czerwoną bramę, prowadzącą w okólnik, z którego znów wrota wychodziły na pole. Dopadł do nich Piszczatowski z mej bandy i otworzył je, lecz zaledwie do połowy, gdyż były zamknięte. Nieprzyjacielska jazda już była na podwórzu koło dworku rządecy, piechota klusem zabiegała nam drogę, pomimo to muszę przyznać na pochwałę naszych, że przejeżdżali porządnie po jednym. Krysińskiemu zostawili miejsce, lecz go nie przyjął i czekał aż ostatni przejedzie. Były więc nawet, to co Rosyane nazywają »polskie ceremonie«, tym razem jednak prawdziwie piękne. Tymczasem już nie minuta, lecz sekunda każda była drogą, wrota w mgnieniu oka mogły być zajęte, a i tak już wszystkie strzały piechoty rosyjskiej były na nie skierowane. Na widok fornalki zaprzężonej, stojącej w okólniku, przyszła mi myśl, aby wpędzić ją w bramę murowaną i tym

sposobem choć na chwilę opóźnić wtargnięcie jazdy na okólnik, zacząłem więc płazować konie, lecz już było zapóźno, dragoni już byli w bramie. Tymczasem nasz ostatni przejeżdżał przez wrota. Pospieszyłem za swymi, we wrotach była już walka z piechotą i jazda do nich dopadała. Z prawej strony natarł na mnie kozak, z lewej officer dragoński, jak się pokazało później, major, dowódca tego oddziału. Z całej siły pchnąłem kozaka w baranią czapkę, pochylił się na kark konia, lecz z dragonem byłoby źle, bo miałem go po lewej stronie, gdyby nie Markiewicz, który, pomimo że sam przedzierał się wtedy przez piechotę, jednak zwrócił się i strzałem z karabinka, o dwa kroki, roztrzaskał głowę owego majora. To zrobiło pewną dywersję na naszą korzyść. O ile mi się zdawało, byłem ostatni, wskoczyłem we wrota pomiędzy piechotę, rąbiąc na prawo i lewo, a raczej odpychając szablą bagnety wśród krzyku Rosyan: »koli, koli!«... Otrzymałem pchnięcie w prawą nogę nad kolaniem, Dosią zaś dwa, jedno w szyję, drugie w łopatkę, i wyniosła mnie z biedy. Za nami posypały się kule i pogoń tętniła. Dąpaliśmy naszych i znaleźliśmy się nad rowem, a raczej kanałem tak szerokim, że konie nasze przesadziły go wprawdzie, lecz nieprzyjacielski ani jeden, więc pogoń ustala. Mówiono mi później, że o kilkaset kroków stamtąd był most, szczęściem nie widzieliśmy go po ciemku, bo byłibyśmy i nieprzyjacielowi drogę wskazali. Jednak pędziliśmy galopem aż do lasu a dalej klusem do Brzostówki. Tu tylko na chwilę zatrzymaliśmy się dla powzięcia wiadomości, nie zsiadając z koni i udali się do lasu, gdzie obiecano nam przysłać przekąskę i owies. Tu także mnie i Kamińskiemu dano garść szarpi i fiaskę z lekarstwem do ran naszych i Dosi. Brakowało nas ośmiu, zostało piętnastu. W lesie zsiadliśmy z koni, opatrzyli rany i czekali na posiłek, połowa jednak stała na pikietach. Gdy posiłek przybył, przekąsiliśmy i moja banda poszła na pikiety, aby tamci mogli cokolwiek zjeść. To znów o mało mnie nie zgubiło. Za chwilę ozwało się złowrogie i charakterystyczne krakanie, co znaczyło nieprzyjaciela.

Rzucamy się do koni, moja Dosia, jak zwykle, luzem puszczona przysłała do ręki, lecz kiedym chciał wznieść się na strzemienu, ból w ranie obezwładnił nogę; chcąc się wznieść rękami, uraziłem Dosię, która się spięła, skoczyła i popędziła za innymi, ja upadłem. Mojej bandy nie było, miałem się za zgubionego. Wprawdzie Marcinkowski z Kłoczowa podjechał ku mnie, dając znak, bym skoczył na jego konia, lecz ja ledwie mogłem uklęknąć na prawą nogę, tak mi strętowała. Powiedziałem więc: »Bóg zapłać, jedź!« i popelzałem na bok. Po krótkiej chwili władza w nodze wróciła, mogłem stanąć. Ty sięć myśli przeleciało mi przez głowę. Uchodźć w las rzadki, bo bez liści, zostawiając ślady po sobie na śniegu, nie prowadziło do niczego. Stałem więc za grubym dębem z rewolwerem w lewej a szablą w prawej ręce i poleciwszy się Bogu, pomyślawszy o ojcu i siostrze, czekałem. Nadziei ocalenia nie było, tylko przyszedł mi na myśl jeden nieprawdopodobny sposób wyjścia z tego położenia. Jeżeli pojedynczy kozak wysunie się naprzód, to palnąć mu na bliską metę w leń, schwyćć konia, skoczyć nań i zmykać, lecz na to trzeba było szczególnie szczęśliwego zbiegu okoliczności, a jeszcze z chorą nogą było owe szybkie skoczenie na konia więcej jak wątpliwem.

Wtenczas przekonałem się dowodnie, że w jednej sekundzie może przesunąć się przez myśl obraz całego życia z najdrobniejszymi szczegółami, wszystko staje w oczach jednocześnie, a jednak jedno nie zawiera drugiego i wszystko jest nadzwyczaj wyraźne.

Posłyszałem tentent, między drzewami ukazał się jeździec sam jeden. Spuściłem szablę na temblak i wziąłem w prawą rewolwer, przyczaiwszy się za drzewem. »Wiwat! widzę butelki!« zawołał mniemany kozak. Zdalo mi się, że m się narodził, i wyskoczywszy z za drzewa, tak przestraszyłem nowoprzybyłego, że ten przed samymi oczyma wywinął mi szablą młynka. Za nim trzech jeszcze ukazało się. Byli to nasi, którzy przez jakiś plot z Sernik wydostali się. Brakowało nam jednak czterech, między którymi z mej bandy Paszkowskiego,

który padł ranny i został wzięty, i Hanytkiewicza, któremu ów koń kupiony w Galicyi tak się zaciął, że nie mógł wyjechać z folwarku. Zaledwie nowo-przybyli zsiadli z koni, aby się posilić resztkami pozostałymi na placu, gdy usłyszeliśmy tentent i nim zdążyliśmy sięść na koń, ukazał się w galopie Turaliński, Markiewicz, Franciszek, Pester i Piszczatowski, oraz Dosia, to jest wszystko, co pozostało z mej bandy.

Nie umiałem im dość podziękować za troskliwość o mnie, lecz Dosię miałem ochotę za uszy wytargać. Zjadłszy co było i popasłszy konie, puściliśmy się za Krysińskim i dognali go w lasach Łęczyńskich koło smolarni zwanej Skarbiną.

Jednak powiedziałem swoim moral: »Gdyby to byli kozacy, to pocóż narażać jeszcze pięciu ludzi, kiedy i tak byliście mnie nie uratowali«. — »Ba, nie trzeba mówić, kto tam wie, na jaką trafi godzinę« — odpowiedział Turaliński — »a ten bestya Tatar sam jeden i ze środka całego oddziału potrafił wydostać dwóch rannych z pod Rososza! a co! Póki człowiek ma siłę w jednym palcu, to jeszcze nie przegrał, bo może przyjść jedna taka godzina, że het, precz krugom! wszystko odmieni«.

Na Skarbinie powitano nas wesołem »hurra!«

W ten sposób ciągle trapieni, ścigani, napadani, przeszliśmy, kołując, okolice Chełmska i Hrubieszówki. Lubo rok już przeszło trwało powstanie, jednak przekonałem się, że była w Hrubieszowskim miejscowość, gdzie nie widziano dotąd powstańców. Jechałem w przedniej straży i spostrzegłem jakiegoś człowieka, czającego się w krzakach. Dalem mu znak, aby się zbliżył, lecz on zaczął uciekać. Zmierzyłem doń z rewolweru. Ten argument przekonał go, zbliżył się, był to staruszek, który gdym doń przemówił po polsku rozplakał się z rozczulenia i zaczął całować Dosię. Opowiedział mi, że jest dawnym wojskowym polskim, że właśnie kładł trutki na lisy i że dotąd nie spotkał powstańców. Taki traf mógł się tylko w tak bezleśnej zdarzyć okolicy. Stanęliśmy wreszcie nad granicą. Krysiński oświadczył nam, że przechodzi do Galicyi, po-

lecił abyśmy to samo, lecz nie gromadnie zrobili, dał nam adresa kilku obywateli, za pomocą których będziemy mogli z nim się komunikować, siadł do powozu z jakimś miejscowym obywatelem i pojechał, wyraziwszy nadzieję, że z wiosną znów się razem znajdziemy.

Posuwaliśmy się nad granicą ku zachodowi w zamiarze przechodzenia po kilku, lecz nie był to jeszcze koniec naszej wojaczki. Dragoni z Dolhobyczowa napadli nas w jakiejś wiosce. Pewien Francuz, którego Ówiek gdzieś wynalazł i który z nami wojażował, padł z głową rozciętą z ręki oficera. Etnier straciwszy konia na kulaki walczył z jakimś dragonem, którego udało mu się ściągnąć z konia w zamięszaniu. Nareszcie przy pomocy jednego z towarzyszy dosiadł konia i ocalał.

Uciekaliśmy aż do lasu niedaleko Posadowa, tam ukryci koło leśniczówki doczekaliśmy się nocy i pod przewodnictwem leśnika przejechaliśmy granicę konno i zbrojno tuż pod stacją objęzyczków. Pożegnałem więc kraj, nie wiedząc, że na długo, ale przeczuałem już tę alternatywę.

Stanęliśmy w Uchówku, w Galicyi, tu złożyliśmy naszą broń i przemyśliwali, co dalej począć. Ja naturalnie ku Lańcutowi dążyć postanowiłem. Poradzono mi, abym rozmówił się z jakimś panem, którego nazwiska nie pamiętam, a który należąc do organizacyi powstańczej najlepiej potrafi zająć się losem naszych ludzi. Kamiński tymczasem z tymi, którzy byli pod jego komendą, pojechał w inne miejsce, gdzie miał już znajomość, zostało mi więc tylko na głowie pięciu, to jest moja banda, a i z tej Pester oświadczył, że wraca do swej ojczyzny. — »A masz pieniądze na drogę?« — spytałem go. — »Jest trochę, chwała Bogu« — odpowiedział mi z polska po węgiersku — »najwięcej pożywilem się na tym koniu, com go wziął pod Hutą Krzeszowską, było tam w kulbace 240 rsr.« — »No toś bogatszy odemnie« — rzekłem. — Pozostało mi więc czterech moich i Jaszczóllo, który koniecznie chciał ze mną czas jakiś zostać, aby się do Rawy Ruskiej przy sposobności dostać.

Po rozmowie z innymi moimi kolegami pokazało się, że wszyscy są bogatsi odemnie. Franciszek oblowił się pod Sojówką, Markiewicz pod Rososzem, Piszczatowski pod Kolanem, a Turaliński najwięcej w Momotach, na owym oficerze kozackim, który zabił mego Bębna. Jaszczółło co miał, to tylko z domu, nie mógł, choćby chciał, tak szybko jak inni zeskończyć z konia i obrewidować swoją ofiarę, gdyż miał obie nogi sparaliżowane i z wielką trudnością chodził, lubo na koniu siedział dobrze, a strzelał po mistrzowsku.

Pożegnanie nasze było serdeczne, tak jak między ludźmi, którzy wspólnie wiele biedy przeszli i z których każdy drugiemu życie uratował, lub zawdzięczał. Wątpiliśmy, czy się zobaczymy, jednak jeszcze spotkać mieliśmy się. Moi ludzie różnemi drogami udali się w okolice Lańcuta i Rzeszowa, opatrzeni w listy rekomendacyjne. Dalem im mój adres do Lańcuta i do Piskorowic, aby w razie potrzeby znaleźć mnie mogli.

Przy ostatniem uściśnieniu ręki Turaliński odezwał się: »Prosilibyśmy jeszcze pana porucznika o jedną łaskę, żeby nam zechciał dać zaświadczenie, żeśmy nie żadne uciekiniery i żeśmy służbę jak się należy pełnili.«

I napisałem każdemu z nich, co następuje: »Ja niżej podpisany N. N. właściciel majątku N. w powiecie N. gubernii N., pełniący obowiązki podporucznika w polskiem powstańczem wojsku, zaświadczam niniejszem, jako okaziciel niniejszego N. N. były żołnierz wojska N. służył przez czas powstania pod moją komendą i sprawował się, jak na wzorowego żołnierza przystoi, to jest przez czas służby ani razu obowiązkom i honorowi żołnierza nie uchybił. Że to, co napisałem jest prawdą, świadczę się sumieniem i stwierdzam to słowem honoru. Tak mi dopomóż Panie Boże«. Świadectw podobnych wydałem jeszcze trzy. — Na końcu był szczegółowy rysopis.

Jeszcześmy się serdecznie uściśnęli. Turaliński pojechał z Piszczatowskim, a Markiewicz z Franciszkiem.

Ja zaś z Jaszczółłem, kupiwszy sobie sanki, zaprzęgliśmy do nich nasze konie i pojechali do Potoka. Dosia moja zda-

wala się obrażoną, że ją zaprzągłem, lecz to za zdradę pod Brzostówką, powiedziałem jej.

W Potoku, u pani Papara zabawiliśmy dni kilka. Jaszczółko pojechał do Rawy Ruskiej, a ja rozpocząłem ponad granicą wojaż do Piskorowic. Z Dosią pożegnałem się ze szczerą łzą w oku i bлагаłem pani Papara, aby jej było dobrze. Już jej nie miałem zobaczyć. Ile może wyrobić się przywiązania w człowieku do zwierzęcia, choć w tym stopniu może tylko do konia, ten tylko uwierzy, kto spróbował wojaczki i to takiej, gdzie często tylko sobie samemu jest się zostawionym, samemu sobie i swemu koniowi.

Za towarzyszkę podróży losy przeznaczyły mi pannę Julię Turską, którą jako kuryerkę widywałem w Królestwie. Było to dla mnie bardzo szczęśliwie, bo panna Turska znała okolicę, a jadących z kobietą mniej podejrzывały władze i policya. Zresztą była to osoba przyzwoita i dobrze wychowana, więc uprzyjemniała kilkudniową podróż.

Różnie przyjmowani dobiliśmy się nareszcie nad San. W jakiejś wsi pożegnałem moją towarzyszkę. Ona podążyła nie pamiętam dokąd, ja zaś do Piskorowic, gdzie serdecznie, jak stary znajomy, o którego ocaleniu się powątpiewało, został powitany. — Tu zastałem listy, pieniądze i garderobę, przysłane mi przez ojca, co mi się bardzo przydało.

Nie mogłem jednak długo bawić w Piskorowicach, a mając kartkę na pobyt w powiecie łańcuckim, tam podążyłem, tembardziej, że naczelnikiem był tam p. Kronstein, człek bardzo zacny. Żona jego, Węgierka, była wielką przyjaciółką Polaków i jej głównie zawdzięczaliśmy dobre dla nas usposobienia męża.

Pan Olszewski, dawny znajomy, ulokował mnie na folwarku Wólce, o dwie wiorsty od miasteczka, u ekonoma, pana Gadzińskiego. Był to jednak ekonom wielkiego majątku, a zatem wyglądał na quasi-rządcę.

Pocziwi ci ludzie robili co mogli, nietylko aby mi na niczem nie zbywało, lecz jeszcze, aby mi się czas nie dłużył.

Ja zaś z mej strony, aby choć cośkolwiek być im użytecznym, gospodarowałem z panem Gadzińskim i wyręczałem go w rachunkach, uczyłem dzieci za panią, rysowałem desenie i przepisywałem wiersze pannie, ich kuzynce.

Tak upłynął miesiąc bez żadnej o Krysińskim wiadomości. Otrzymałem tylko wiadomość od Turalińskiego o wszystkich moich. Donosił mi, że wszyscy są ulokowani blisko siebie i niedaleko Rzeszowa, pomagają w dozorze gospodarczym i oprócz utrzymania pobierają nawet małe pensyjki. Zatemkniałem do nich, a ponieważ zbliżały się ostatki, zaproponowałem listownie Turalińskiemu, aby, jeżeli to jest możebnem, zebrał całą bandę i przyjechał na ostatni wtorek do Rzeszowa i sam tam udałem się. Już na dworcu kolei czekali na mnie towarzysze broni, i nie zważając na obecność Austryaków na powitanie moje odpowiedzieli chórem: »Zdrowia życzymy panu porucznikowi!« Przepędziłem z nimi dzień cały i nagawędziliśmy się o starych dziejach. Chcąc pojąć tę moją przyjemność, trzeba pamiętać, że każdemu z nich byłem winien życie.

Pomimo konsystencyi wojska, powstańcy używali w Rzeszowie wielkiej swobody, mieli swą władzę, adwokata Zbyszewskiego, ubodzy byli rozkwaterowani i żywieni przez mieszkańców. Dowiedziałem się w Rzeszowie, że Krysiński jeszcze nie zaraz ma wkroczyć do Królestwa, a tymczasem cały prawie jego oddział znajduje się w Rzeszowie lub okolicy, to jest przynajmniej wszyscy surdutowi, bo lud prosty nie wychodził za granicę tylko wracał do domu spokojnie, słowem było tam przeszło 200 a może do 300 ludzi Krysińskiego.

»Słuchajcie chłopcy! pójdziemy jeszcze na wojnę?« — spytałem moich. — »A jakże panie poruczniku!« — »A czy moglibyście trzymać tam u siebie konie?« — »Jak najlepiej panie poruczniku«. — »Ażeby tak sprowadzić nasze konie, co?« — »Choćby dziś, panie poruczniku«. — »A kto pojedzie po nie?« — »Kogo pan porucznik poszle!« — »No to pojedzie Markiewicz, on najstarszy, to nie wezmą go za powstańca. — Dobrze?« — »Bardzo dobrze, panie poruczniku«. — »Więc słu-

chaj! — »Słucham, panie poruczniku«. — »Pojedziesz do domu, opowiesz się, żeby nie myśleli, żeś uciekł; pojedziesz do Ulhówka, zabierzesz tam naszą broń i nasze cztery konie, każesz zrobić pakę do fortepianu, ułożysz w nią broń i nasypiesz owsa na pięć koni, i wszystko co potrzeba; pojedziesz do Potoka, zabierzesz Dosię, i w pięć koni niby to z fortepianem będziesz jechał napowrót, reszta już na twojej głowie«. — »Słucham panie poruczniku!« — Wróciłem do Wólki kontynuować sielanekę. Towarzysze jednak w Rzeszowie namawiali mnie, abym korzystał z życzliwości naczelnika powiatu i starał się przenieść do Rzeszowa. Postanowiłem spróbować i wracając zatrzymałem się przed powiatem w Łańcucie, kiedym wysiadał przed gmachem urzędu powiatowego, spostrzegłem w lufiku głowę pana Kronsteina. Poszedłem na górę i zameldowałem się do niego. Urzędnik siedzący w pierwszym pokoju z tajemniczym uśmiechem powiedział mi, że naczelnik jest i czeka nawet na mnie; to mnie zdziwiło. Wszedłem, nie było nikogo. Czekałem tak długo, że znudzony zacząłem się przechadzać i przyglądać księgom i papierom, leżącym na biurku. Oczy moje padły na papier jakby umyślnie na widoku osobno leżący i na tym papierze spostrzegłem moje nazwisko podkreślone czerwonym ołówkiem. Niemczyzna moja wystarczyła na tyle, że przeczytawszy: »1.000 Gulden... *sogleich nach Olmütz*« zrozumiałem, iż jeżeli nie złożę 1.000 reńskich kaucyi, będę internowany w Olomuńcu. Zrozumiałem również, dlaczego nie mogę się doczekać pana naczelnika. Wyszedłem natychmiast, powiedziawszy temu samemu urzędnikowi, że wrócę zaraz, na co on się z niedowierzaniem uśmiechnął. Wpadłem do Wólki pożegnać swoich gospodarzy i zabrać swe rzeczy, i z powrotem tą samą furmanką, nie czekając godziny pociągu, pojechałem do Rzeszowa korzystać z tamtejszych swobód.

Pobył mój w Rzeszowie trwał 3—4 tygodni. Przez ten czas dowiedziałem się, że Krysiński w dniu i punkcie oznaczonym wejdzie do Królestwa. Zanim jednak nadszedł ów termin, spadła na nas bardzo smutna wiadomość: Stan obłę-

żenia ogłoszony został w Galicyi, położenie więc szczególnie uboższych i nie mających stosunków, stało się trudnem i niebezpiecznem.

Cały tłum powstańców z klasy niższej począł się domagać wkroczenia do Królestwa i nachodził wykształceńszych ludzi żądając, aby go prowadzili.

Jak na nieszczęście dowiadujemy się znowu, że Krysiński w innym punkcie przechodzi granicę i poleca abyśmy, gdzie można, przeszli ją i z nim się łączyli.

Na to wszystko zjawia się w Rzeszowie moja komenda, t. j. czwórka. Markiewicz melduje, że konie i broń są przewiezione i ulokowane w pewnem miejscu blisko granicy. Ścisłkami go za to naturalnie, lecz dowiaduję się, że nie można widzieć Dosi aż w chwili przejścia granicy, gdyż po wsiach teraz trudna komunikacya.

Rozmawiam z panem Zbyszewskim, który twierdzi, że jeżeli ludzie nasi nie przejdą granicy, nie będzie można wstrzymać ich od starcia z władzami austryackimi, które ich przesładują i aresztują. Zresztą, że zawsze lepiej poprowadzić ich do Królestwa, gdzie choć część ich w najgorszym razie ocala, niż zostawić tu, gdzie zrobią awanturę i zmarnieją.

Jako mieszkaniec Galicyi wolał on wojnę dalej od swego domu, pojmowałem to i sądziłem, że jak najlepiej przygotuje wszystko, abyśmy Galicyę opuścić mogli. Przyszła wiadomość, że Krysiński wchodzi już, potem druga pewna, że wszedł i posunął się nad granicę, aby się z nami połączyć. Dwustu przeszło z naszego oddziału zażądało, abym ich prowadził. Pan Zbyszewski powiedział, że przewóz na Sanie gotów, a za Sanem jest broń, dał marszrutę i przewodnika. Dzień oznaczono dzisiejszy, t. j. że nocą wyjdzie małemi partyami cały tłum i dopiero w lesie połączy się.

Oświadczyłem powstańcom, że dowództwa nad nimi nie obejmę, ponieważ chcąc im być użytecznym, będę za kartą legitymacyjną, daną mi przez pana Zbyszewskiego, jako »Ritter von Dobrzański«, jechał od dworu do dworu, torować im

drogę i myśleć o ich potrzebach. Dowódczą zaś naznaczyłem Grabowskiego, młodego chłopca, sprytnego i energicznego, który będzie ich prowadził manowcami i lasami. Dodałem Grabowskiemu swoich czterech towarzyszy broni, aby miał pomocników, na których w każdym razie jak na cztery tuzy liczyć może.

Ruszyliśmy z Konstantynowiczem, lekarzem naszego oddziału, bryczką do Grębowa, Grabowski na czele oddziału piechoty do lasów Grębowskich.

W Grębowie stanęliśmy przed następną nocą, lecz tu czekał mnie zawód. Pan Dolański, właściciel, oświadczył mi, że przewóz był przygotowany, lecz Austriacy go znaleźli i zabrali, o czem uwiadomił pana Zbyszewskiego, i to nie listownie, lecz przez zaufaną osobę, która wróciła po zakomunikowaniu tej wiadomości, że zatem dziwi się bardzo, jak pan Zbyszewski mógł nas wyprawić, skoro bez przewozu San teraz jest nie do przebycia, bo rozlany nadzwyczajnie, a wszystkie mosty strzeżone.

Nie chcę być sędzią w tej sprawie, lecz wszystko każe mi sądzić, że chciał, nie pytając się o następstwa, bądź co bądź pozbyć się nas ze swego terytorium.

Nie czas było myśleć o winowajcy, lecz o tem, co dalej począć.

Zapytałem wprost o to pana D., który po namyśle dał mi taką bardzo śmiałą odpowiedź, która właśnie dla swej śmiałości miała warunki powodzenia: »Jest was dwustu kilkudziesięciu z tej strony Sanu, a trzysta karabinów z ładunkami z tamtej. Jadę natychmiast do Zaleszan do p. Konopki, i na dwóch lub trzech czólnach przeprawimy zapomocą ludzi zaufanych i zręcznych broń na tę stronę lasów pod Zaleszanami. Wy tymczasem tej samej nocy posuniecie się w te lasy. Mając broń, pójdziecie wprost na most w N., który jest pod lasem na sto kroków, do którego więc niepostrzeżenie zbliżyć się można. Mostu pilnuje 20—30 żołnierzy, bić się z wami nie będą i puszcza was, lecz nie kontentując się, możecie na-

wet wziąć ich z sobą, żeby nie dali znać do Radomyśla, gdzie stoi jazda, któraby was ścigać mogła. Za godzinę marszu będziecie za granicą. Nie radziłbym wam tego, gdyby nie było stanu oblężenia, bo wskutek tego mógłby być zaprowadzonym, ale skoro już jest, to ani wy, ani my nie mamy nic do stracenia. Każę zaprzęgać do wozu, naładować go żywnością, a Konstantynowicz niech jedzie do obozu powiadomić o dalszem postępowaniu, pan zaś czekaj tu na mnie.

Brawo! zawolałem, i pan D. pojechał. Wieczór spędziłem w towarzystwie pani D. i jakiegoś oficera, Czecha, który miał posiadać talent odgadywania charakterów z rodzaju pisma. Pokazałem mu kilka listów i rzeczywiście bardzo dokładnie określił mi charaktery osób, przez które były pisane.

Nareszcie udałem się na spoczynek do przeznaczonego mi pokoju, pierwszy raz w ciągu powstania niespokojny, bo pierwszy raz miałem odpowiedzialność na głowie.

Wśród nocy zbudzony zostałem przez starego lokaja, który oświadczył mi, że pani chce się ze mną natychmiast widzieć. Dowiedziałem się, że pewien oficer, Polak, konsystujący w Rozwadowie, ostrzega państwa D., że dzisiejszej nocy będzie rewizya w Grębowie. Zapytany, co myślę począć, odpowiedziałem, że dla mnie pałac Grębowski jest miejscem równie, lecz nie więcej niebezpiecznym jak każde inne, że idzie mi jedynie o to, aby moim gospodarstwu za ich gościnność nie sprowadzić jakiej nieprzyjemności, więc jako nieobeznany z miejscowością oddaję się pod jej rozkazy.

Pani D. po namyśle i naradzie ze starym lokajem postanowiła, że na tę noc udam się do jakiegoś wieśniaka, któremu ufali. Zaprowadzić mnie do niego podjął się ów lokaj, a ponieważ nie chciano przypuszczać do tajemnicy ogrodnika, który miał klucz od furtki w murze, więc mieliśmy się przez mur przedostać.

Ponieważ nie wiedziałem gdzie i w jaki sposób czas mój u owego wieśniaka przepędzać będę, ponieważ nawet bardzo przypuszczałem, że wprost od niego do obozu pójść mi wy-

padnie, więc przebrałem się w powstańczy uniform, pojmując, że on mnie już teraz nie może kompromitować, gdyż więcej kompromitującymi będą nocne wędrówki i ukrywanie się w wieśniaczej chacie.

I pożegnawszy panią D. poszedłem za owym lokajem. Po kratce do rozpinania winogrodu wdrapałem się na mur i kiedy pomagałem memu staremu przewodnikowi do zrobienia tego samego, usłyszałem *halt!* ujrzałem kilku żołnierzy, kilka łuf we mnie wymierzonych. Zostałem więc schwytyany. Mogłem wprawdzie skryć się do ogrodu, lecz toby do niczego nie prowadziło, tylko do skompromitowania państwa D., ogród bowiem był otoczony wszędzie murem, a po za tym murem przechadzały się stráže wojskowe, jak to ze świstawkowych sygnałów wnet się dowiedziałem.

Popisywać się kartą legitymacyjną również na nic nie byłoby się przydało, gdyż Ritter von Dobrzański trudniej jeszcze mógłby wytłumaczyć pobyt swój na murze cudzego ogrodu, jak powstaniec.

Zaprowadzono mnie do miejscowego odwachu, gdzie przed wachmistrzem zeznałem, że jestem jednym z rozbiteków, którzy po świeżej potyczce nad granicą weszli do Galicyi, że nie mając gdzie schronić się, chciałem dostać się za mur i tam dnia doczekać. Pomimo zarzutów żołnierzy, że przeciwnie wychodziłem z ogrodu, powtórzyłem moje pierwsze zeznanie i to do protokołu wpisanem zostało.

Rano pan D. wrócił i nibyto dowiedziawszy się o areztowaniu kogoś na jego gruncie, posłał na odwach lokaja z zapytaniem, czy czego nie potrzebują, a potem prosił oficera, by mi pozwolił przyjść na śniadanie, na co ten się zgodził.

Ponieważ warta została w przedpokoju, a potem nawet zupełnie wróciła do odwachu, gdyż pan D. zaręczył za mnie, więc mogłem się dowiedzieć o losie, jaki czeka mą biedną komendę.

Wiadomości były niepomysłne. Plan przez pana D. ułożony, a który tak mi się podobał, był zniszczonym. Broń

ukryta na prawym, t. j. na przeciwnym brzegu Saau, została znaleziona i zabrana przez władzę. Nie było więc sposobu przejścia granicy, oddział nasz, będący w lesie, już także może być w tej chwili rozprószony, gdyż wojska ruszyły w jego kierunku. Krysiński przeszedł, lecz z bardzo małym konnym oddziałkiem i puścił się w Podlaskie. Pan D. radził mi, abym utrzymywał, że lubo Polak, jestem synem emigranta i poddanym francuskim, gdyż słyszał o pogróżkach wydawania powstańców Rosyanom. Prosiłem go, aby o ile możności starał się ulżyć losowi mej biednej komendy i ponieważ internowanie przez Austryaków było może tem, co najlepszego spotkać ich mogło, aby zrobił co można dla uchronienia ich od wydania w ręce Rosyan. Szczególnie ze Izami w głosie poleciłem mu moich czterech druhów, a na zakończenie prosiłem, aby jeżeli będzie można wziął Dosię, a także Indyka i trzy inne: Kozę, Babę i Wilka. Prośbę moją powtórzyłem również pani D., ufając więcej czulszemu kobiecemu sercu.

Ponieważ dopiero popołudniu miałem być odesłany do Rozwadowa, więc po śniadaniu nastąpił obiad, na który zjawił się jakiś inżynier z Rzeszowa, który zaproponował, aby dla mnie i dla niego nakryto w pokoju gościnnym, tym samym, w którym miałem zamiar noc przepędzić, i aby na ten obiad zaproszono także wachmistrza. Gospodarz przystał na to, pomówił coś z inżynierem i zostawił nas samych, a wkrótce zjawił się także wachmistrz i siedliśmy do stołu. Po obiedzie wachmistrz, Polak, jak wszyscy prawie w tym pulku, zwanym »Rosbach«, nabrał dobrego humoru, a inżynier zaproponował mi, abym się przespał, zanim chwila odjazdu nadejdzie, a gdy mnie na migi do tego zachęcał, zgodziłem się udawać przynajmniej, że śpię, domyślałem się bowiem, że są jakieś projekta.

Po chwili zacząłem chrapać i usłyszałem, że inżynier ofiaruje 100, 150, 200 guldenów za ułatwienie mi ucieczki. Nie nie pomogło, niewzruszony wachmistrz nie dał się skusić i dodał: »Nie mają państwo czego bać się o niego, Rosyanom nie wydadzą go z pewnością, bo to się gada tylko dla strachu,

ale jeżeli się chce jeszcze lepiej upewnić, to niech mówi, że jest innym poddanym nie rosyjskim. Lepiej jemu dajcie te pieniądze, bo może jest bez krajcara«. Projekt więc nie udał się, lecz pozostała mi dla państwa D. wdzięczność za ich dobre chęci dla mnie.

Rzeczy moje cywilne zostawiłem w Grębowie, a wziąłem jedynie z sobą konny mantelzak z trochę bielizny i opatrzone w mnóstwo wiktualów przez panią D., wymówiwszy się od wszelkich innego rodzaju datków, już miałem siadać na wóz, w cztery dzielne konie zaprzężony, gdy szukając czegoś w moim mantelzaku znalazłem paczkę zawierającą 300 guldenów w zlocie i list pani, ofiarującej mi to jako pożyczkę do lepszych czasów. Zwróciłem dar z najserdeczniejszem podziękowaniem, a zachowałem list, jako dowód, że są jeszcze ludzie chcący szczerze bliźniemu dopomódz, i prosiłem panią D., aby łaski, którymi mnie obdarzać raczyła, złała, jeżeli będzie można, na Dosię.

Później jakaś emigracyjna polska gazetka, wydawana w Dreźnie, powodowana widocznie osobistością, opisała całą tę moją przygodę w Grębowie, wprawdzie bez wymienienia nazwisk, lecz dla znających miejscowe stosunki bardzo wyraźnie, ubarwiła rzecz niemądrymi komentarzami i nadała całemu, tak zresztą zwyklemu w czasie powstania, zdarzeniu charakter skandaliku.

Dotknięty tym, upomniałem się z Paryża o krzywdę ludzi, którzy mi takie dowody życzliwości dali. Z początku redaktor utrzymywał, że wcale ani mnie, ani państwa D. nie miał na myśli, lecz przyparłem go, jak to mówią, do muru, i widząc, że niema innego wyjścia, jak danie satysfakcyi lub odwołanie, wybrał to ostatnie i umieścił artykuł, w którym przyznawał, że był w błąd wprowadzonym przez jednego ze swych korespondentów. Postarałem się także, aby ten artykuł i w innych pismach emigracyjnych był powtórzony.

Wjazd mój do Rozwadowa był rodzajem tryumfu na małą skalę. Mieszkańcy widząc więźnia, a po pięknych ko-

niach, eleganckim furmanie i silnej, bo z trzech żołnierzy złożonej straży, wnosząc, że to ważna jakaś figura, wylegali z domów i składali mi dowody współczucia w postaci butelek wina, sera, kielbasek parowych, bułek, a nawet bukietów z kwiatów doniczkowych.

Tak obdarowany zajechałem przed bramę więzienia i po krótkich formalnościach ujrzałem się w gronie moich nowych towarzyszy. Rzuciwszy okiem po zgromadzeniu, spotkałem znajomą i sympatyczną twarz, był to Gryglaszewski, dowódzca jazdy w oddziale Œwieka, były oficer kozaków sułtańskich, człowiek bardzo zaorny i przyjemny. Miałem więc już towarzystwo, ten najważniejszy warunek w więzieniu. Kółko Gryglaszewskiego składali Jarosław Skotnicki i Zglinicki, dwaj obywatele z Sandomierskiego; tam się z nimi poznałem, później spotkałem ich w Paryżu, a z pierwszym z nich prawie cały czas mej emigracyi mieszkałem.

Reszta towarzystwa byli to ludzie prości, albo co gorzej, udający nieprostych, na tych więc trzech ograniczyły się moje więzienne stosunki.

W Rozwadowie więźniowie polityczni otrzymywali pożywienie ze dworu od właściciela, księcia Lubomirskiego. Wskutek więc tej gościnności nie zbywało nam na niczem.

Po kilku dniach pobytu w tem więzieniu, wezwany zostałem wraz z kilkoma innymi, aby zebrać swe rzeczy, gdyż udamy się w drogę, później dopiero dowiedziałem się, że celem podróży był Rzeszów.

Wędrówka od aresztu do aresztu trwała dwa czy trzy dni, a nocleg nasz w Sokołowie na zawsze pamiętnym mi zostanie.

Na każdej nowej stacyi wymawiano się od dania nam posilku tym, że na poprzedniej powinniśmy byli go otrzymać, a skoro nie, to otrzymamy na następnej. Chęć kupienia czegokolwiek za swe pieniądze nie wystarczała, gdyż ani więźnia nie puścili, ani nikogo do niego; a ze straży nikt pójść nie chciał, czy nie mógł. System taki, gdy trwa zadługo musi do-

prorowadzić do desperacyi, tak więc było i z nami. Po odmownej już może dziesiątej odpowiedzi, zaczęliśmy dopominać się głośno. Hałas usłyszano na ulicy i zebrał się tłum mieszczan, którzy oświadczyli się z gotowością przyniesienia żywności więźniom, czego im zabroniono. Rozruch tak się zwiększył, że oficer wszedł do nas z kilkoma żołnierzami i oświadczył nam łamaną polszczyzną, że: »Dostaniemy po dwadzieścia patyków« za to, że buntujemy mieszczan. Przeprowadzeni do rozpaczy chwyciliśmy polana drzewa, leżące koło pieca, i próżne butelki, których stos leżał w kącie izby. Mieszczanie poparli nas z zewnątrz. Jedna ich część nawet z proboszczem na czele poszła na górę do naczelnika i zagroziła, że deputacya ich pojedzie natychmiast do Wiednia skarżyć się na złe obchodzenie z więźniami, którzy przeciw miejscowemu rządowi nie zawinili i nie chcą nic innego tylko pożywienia nie za rządowe pieniądze. Druga zaś wdarła się do więzienia z żywnością i oświadczyła, że bronić nas będzie od gwałtu, ten krok energiczny poskutkował, nie uwolnił nas jednak od pewnej kary, gdyż na drugi dzień ze dwie mile musieliśmy iść pieszo, pomimo, że chcieliśmy najać furmanki, że nam je ofiarowano.

Tak więc system więzienny austriacki niemile zostawił mi wspomnienie, a gdy później zakosztowałem więzienia rosyjskiego, bezwarunkowo przyznałem pierwszeństwo temu ostatniemu. Nie mówię tu o czasie trwania powstania, bo podówczas działy się w więzieniach rosyjskich okropności, którym potomność może wierzyć nie zechce. Przekonany jestem, że ze skompromitowanymi względem rządu obcego obchodzono by się nie gorzej w Rosyi, jak z nami po skończeniu powstania.

Przybyliśmy do Rzeszowa po ciemku i wprowadzono nas do więzienia, o którego zapelnieniu słyszeliśmy w drodze. Jakież więc było nasze zdziwienie, gdy przeszedłszy kilka izb nie spostrzegliśmy nikogo, a w ostatniej otwór w murze, którym wszyscy lokatorowie wynieśli się. Mieliliśmy więc pomieszczenie, lubo ową ostatnią izbę zamknięto i oprócz wewnętrznej postawiono nam zewnętrzną wartę.

Pomimo pogroźek wydawania Rosyjanom, wyprawiono nas nazajutrz koleją do Krakowa.

Tu w więzieniu pod telegrafem, z balkonu wewnętrznego, na który pozwalano nam wychodzić, ujrzałem na podwórzu w przechodzącej gromadzie więźniów Franciszka, dowiedzieć się mogłem tylko tyle, że wszyscy czterej są razem, tylko, że tamci trzej już poszli ua kolej, i że jadą do Ołomuńca. Gdybym był o kilka minut wcześniej wyszedł na ten ganek, byłbym przynajmniej ujrzał twarze wszystkich mych towarzyszy broni.

Następnego dnia pojechalśmy do Wiednia, gdzie tylko przenocowawszy, wyprawieni zostaliśmy do Salzburga.

Tu władze austriackie pożegnały nas, dawszy nam w rękę bilety jazdy do Monachium i dopilnowawszy, abyśmy wsiedli do wagonu.

Znalazłem się więc znów wolnym. W Monachium zaba-wiłem przez dni kilka dla zwiedzenia jego ciekawości i prze-pędzenia Świąt Wielkanocnych. Znalazłem tu kilku znajomych, byłych oficerów rosyjskich. Jako wspomnienie dalekiej ojczy-zny, mieliśmy święcone u jakiegoś księdza, Polaka, również emigranta.

Długo jednak nie można tu było bawić, udałem się więc z mymi znajomymi ku owej ucieczce wszystkich tułaczy, ku Francyi. Moi towarzysze postanowili czekać w Strasburgu na listy i pieniądze od swych znajomych z Paryża, ja tylko dzień tu zaba-wiłem dla obejrzenia katedry i puściłem się do Paryża, tej głównej kwatery emigrantów naszych.

Prawie bez grosza, za całe ubranie mając mój mundur powstańczy, w mantelzaku cokolwiek bielizny a w ładownicy cygara, przyszedłem z dworca piechotą do znajomego mi da-wniej hotelu »Jacob«, przy ulicy »Jacob« nr 44. Tu stara go-spodyni rzuciła mi się na szyję, zaprosiła na obiad i poży-czyła pieniędzy na pierwsze potrzeby.

Tak rozpocząłem życie tułacze, które z różnemi kolejami pięć kwartałów trwało.

Napisałem naturalnie zaraz do ojca i do pana D., prosząc o przysłanie mi mej walizy, oraz wiadomości o wszystkich, którzy mnie interesowali.

Niebawem nadeszły od ojca pieniądze, od pana D. ubranie i wiadomość, że moja czwórka jest internowana w Ołomuńcu, konie zaś wszystkie kupione za bezcen na licytacji poodstępował pan D. sąsiadom, gdzie służą jako wierzchowce rządcom, ekonomom, a nawet dziedzicom.

Dosia jest w Grębowie i jeździ na niej rządcą, lecz pani D. wierna słowu, codzień ją odwiedza i cukrem własną ręką karmi.

W kilka miesięcy otrzymałem z Grębowa nową wiadomość, że moi czterej towarzysze zaciągnęli się do polskiego legionu jazdy, który miał bronić w Meksyku sprawy cesarza Maksymiliana, i że tam już odplynęli.

Od tej pory nic o nich już nie słyszałem, pomimo że starałem się przez różne emigracyjne stosunki w Meksyku otrzymać wiadomość.

Po powrocie do kraju w roku 1865, przez znajomego, mieszkającego w Sandomierskiem, bardzo blisko Grębowa, prosiłem o sprzedanie mi Dosi, lecz otrzymałem wiadomość, że padła ofiarą karbunkułu, który w pięknej stajni pana D. zadął wielką kłeskę. Młodociana córeczka Dosi, wtenczas ssąca jeszcze, również padła.

— ❦ — K O N I E C . — ❦ —

Bitwy i spotkania wymienione w tym pamiętniku:

Rozsypka pod Dubowem.  
Spotkanie pod Parczewem.  
Spotkanie pod Wirykami.  
Napad na Domaczew.  
Bitwa pod Sajówką.  
Bitwa pod Kaniowolą.  
Bitwa pod Zyrzynem.  
Spotkanie pod Żezulinem.  
Spotkanie pod Garbowem.  
Podjazd do Lublina.  
Podjazd do Wytczna.  
Podjazd do Włodawy (pierwszy).  
Podjazd do Włodawy (drugi).  
Bitwa pod Rososzem.  
Bitwa pod Kolanem.  
Spotkanie pod Rutką.  
Bitwa pod Malinówką.  
Wycieczka nocna pod Rudą.  
Spotkanie w Andrzejowie.  
Starcie z jazdą pod Zienkami.  
Napad w Hucie Krzeszowskiej.  
Napad na Momoty.  
Spotkanie pod Żółkiewką.  
Spotkanie pod Starościnem.  
Spotkanie pod Mochowem.  
Napad w Majdanie.  
Napad w Sernikach.  
Spotkanie pod Dolhyczowem.



*Kopyciński Adam ks. dr.* Działalność katolików w kraju na polu socjalnej organizacyi zhr. — 40.

*Korclenko Wł. Z Sybiru*, obrazki powieściowe; najznakomitszy utwór beletrystyki rosyjskiej, zhr. 2'—, oprawne w płótno zhr. 2'50.

*Korzon Tadeusz. Dola i niedola Jana Sobieskiego, 1629—1675*, 3 obszernie tomy zhr. 10'—, Dzieło uwiecznione nagrodą Akademii Um.

*Konstanty Ireneusz hr. Łubieński*, biskup seyneński, str. 453, z kilku rycinami, zhr. 2'50.

Dzieło to, zestawione na podstawie oryginalnych dokumentów, przechowanych obecnie za granicą, jest niezmiernie ważnym przyczynkiem do dziejów Kościoła i Królestwa polskiego pod panowaniem rosyjskiem, w epoce lat 1850—1869.

*Książeczka do modlitwy dla mężczyzn z inteligencji*, przez *Z. B. M.*, świeżo bardzo starannie wydana; papier i format ozdobne; tekst polski i łaciński, aprobata Księcia-Biskupa krakowskiego. — Oprawna gietko w płótno gładkie, brzegi czerw. zhr. 1'60, w prawdziw szagren z wyciskami na grzbiecie zhr. 2'40, w cielejącą skórę lub jucht zhr. 4'—.

*Louis-Wauel Józef. Okruszyny historyczne.* — Treść: Wojskowa reprezentacya Galicyi (1781 do 1791). — 19-letni pułkownik. — Zginął jak Berek pod Kocekiem. — Dukat pani kasztelanowej i t. d. Z 4 rycinami zhr. — 80.

— *Kronika rewolucyi krakowskiej w r. 1846.* Wyciąg z treści: Usposobienie umysłów. — Przybycie Mierosławskiego — Zajęcie Rzeczypospolitej krak. przez generała Collina. — Zajęcie Podgórza i ogłoszenie dyktatury. — Formaeyja wojska polskiego. — Spis osób w „kronice“ wspomnianych, str. 206, zhr. 1'—

*Łubieński Tomasz Wentworth. Kwestya polska w Rosyi.* List otwarty do rosyjskich publicystów. Zhr. — 60, w ozdobnej opr. zhr. 1'—

Ciekawa ta praca należy do szeregu tych pism, które przyczyniły się do ułatwienia zwrotu, jaki się obecnie przejawia w zapatrywaniu na stosunki polsko-rosyjskie.

*Maryan z nad Dniepru. Dzieje literatury ojczystej dla młodzieży polskiej.* Dwie części brosz. zhr. 1'40, oprawne w płótno zhr. 1'80.

— *Dzieje ojczyste aż po najnowsze czasy*, opowiedziane dziełem polskiej. „Gazeta Narodowa“ z dnia 5. 2 1898 r. pisze o tem dziele: W książce dla młodzieży ilustracye ważną bardzo odgrywają rolę, a im one są starsze, im wierniej odpowiadają prawdzie i rzeczywistości, tem większe jest ich znaczenie i wartość. Tutaj zaś mamy 132 takich ilustracyi, wykonanych według autentycznych współczesnych pieczęci, sztycznych lub rycin, nowszych zdjęć fotograficznych, portretów i obrazów najcelniejszych malarzy. Dodajmy nadto, że na wykwintnym papierze i starannie odbite, wydają się te ryciny bardzo dobrze i świadczą o wielkiej troskliwości nakładu. A jednak, chociaż książka tak kosztownie i ozdobnie wydana, cena jej księgarska wynosi tylko zhr. 2'—, w bardzo wykwintnej opr. zhr. 2'60. Słowem „Dzieje ojczyste“ Maryana z nad Dniepru godne są polecenia młodzieży, a ozdoba również będą każdego salonu.

Zamawiając „Dzieje ojczyste“ żądać należy wyraźnie „wydanie Spółki Wydawniczej w Krakowie“, gdyż prócz tego wydania istnieje odmienne, poznańskie wydanie.

*Mapa Rzeczypospolitej Polskiej Jana Babireckiego* z przydaniem kart orientacyjnych 3 podziałów, Ks. Warszawskiego i dzisiejszego podziału ziem polskich. — Karta ta starannie w 5 kolorach wykonana, jest pierwszą dokładną mapą Polski. Wydanie drugie. Cena zhr. 1'—, podklejona starannie, złożona, lub do zawieszenia zhr. 1'50.

*Mowy Juliana Dunajewskiego w Sejmie krajowym i w Radzie państwa.* 2 tomy z portretem autora. Cena zhr. 8'—, na papierze lepszym zhr. 10'—

*Mycielski J. dr.*, prof. Uniw. Jag. *Sto lat dziejów malarstwa w Polsce.* 1760—1860 Wydanie drugie. Kraków 1898, w 8-ce, str. 737. zhr. 5'—

Książka ta zapewnia lukę w literaturze naszej, tak bardzo ubogiej w dzieła, obszernie traktujące sztukę.

*Nowele konkursowe „Czasu“.* Wydanie zbiorowe w 1 tomie, zhr. 2'50.

*Pamiętniki generała Murawiewa („Wieszatela“)* 1863—1865, tłóm. z oryginału, z przedmową *St. Tarnowskiego* Z 16 rycinami zhr. 1'50, opr. zhr. 2'—

*Paszkowski Fr.*, *Książę Józef Poniatowski*, jego życie i działalność, wydanie przepyszne, ozdobione oryginalnymi rycinami, zhr. 1'20, w opr. zhr. 1'60.

Zobacz 4 stronę okładki.

080  
K  
29/1  
1459

*Pelczar Józef*  
w Kościele katolickim  
— Dodatek do  
rosyjskim) obejmuje  
dziei, porządkiem  
— Kazania na  
pomnożone, 2 obsz  
— Rozmyślenia  
— Rozmyślenia  
drugie, znacznie  
— Życie duchowe



— Życie duchowe, życie i działalność chrześcijańska, według najcelniejszych mistrzów duchownych, wydanie piąte, 2 tomy zlr. 3 50.

*Pieśni i marsze wojska polskiego* z końca 18 i początku 19 wieku. Tekst i muzyka. Zebrał J. Horoszkiewicz. Bardzo staranne i ozdobne wydanie w 2 poszytach. Cena zlr. 2—, w oprawie tańszej zlr. 2 40, w przepysznej okładce wedle akwareli *Kossaka* zlr. 3—. Rzecz bardzo stosowna na podarek.

*Retinger Józef dr.* Podręcznik austriackiego prawa wekslowego, zlr. 1 50. (Przekład poprawny z komentarzem historycznym i rzeczowym, z uwzględnieniem tekstu niemieckiego oraz ustaw, obowiązujących na Węgrzech)

*Sarnecki Zygmunt.* *Historia literatury francuskiej*, ułożona podług najświeższych źródeł i opracowań obcych.

Dzieło to, zapelniające dotkliwą w literaturze naszej lukę, jest starannie ułożonym przewodnikiem, którego celem wskazanie drogi, wiodącej do poznania bogactw piśmiennych narodu, przodującego cywilizacji europejskiej. — *Historia literatury francuskiej* doprowadzona jest do czasów ostatnich, a dokładny rejestr ułatwia bardzo odszukanie każdego autora.

Cena tomu o 480 stronnicach zlr. 3—, w starannej oprawie zlr. 3 50.

*Schnür-Pełkowski Stanisław.* *Historia legionów polskich*, z 13 ilustr. wedle oryginalnych portretów, tudzież dwoma rysunkami *Juliusza Kossaka*. Kraków 1897, w 8-cc, str. 228, zlr. 2—, w oprawie zlr. 2 50.

*Sewer.* *W kleszczach, Magdusia*, dwie nowele, zlr. 1 60, oprawne zlr. 2—.

— *Bajecznie kolorowa.* Powieść z życia artystów krak., zlr. 1 50, w oprawie zlr. 2—.

*Strażyńska H. Adam Mickiewicz.* Opowiadanie dla młodzieży, zlr. 1 20 kartonowane zlr. 1 50.

*Tarnowski Stanisław.* *Studia do dziejów literatury polskiej XIX wieku.* Pięć seryj po zlr. 2—, w oprawie płócianej po zlr. 2 50.

— *Z wakacji.* Wspomnienie z podróży po Kijowie, Moskwie, Wilnie i Prusach królewskich. 2 tomy. Cena zlr. 3—.

— *Matejko*, życiorys i działalność mistrza. Całe dzieło w okazałym formacie, obejmuje 552 stron starannego i czytelnego druku, 123 rycin i winiet — przepysznie odbitych na brystolu. Cena egzemplarza zlr. 15.— oprawnego przepysznie w półskórek zlr. 18—

*Trapszo Anastazy*, b. dyrektor szkoły dram. War. Podręcznik sztuki dramatycznej dla artystów i amatorów. Zlr. 1 80

*Wiśniowski Tadeusz Dr. Prof.* *Szkic geologiczny Krakowa i jego okolicy*, z kolorowaną mapą geolog. zlr. 1 20.

*Wodzińska T. Krystyna królowa szwedzka*, z portretem. zlr. 1—.

*Wojciechowski Tadeusz*, Prof. Uniw. *Kościół katedralny w Krakowie.* Owoc długoletnich studiów znakomitego historyka, pierwsza źródłowa praca, przedstawiająca w 30 rozdziałach dzieje katedry. Tom in folio, nader wykwintnie wydany, z 66 rycinami. Dochód na restaurację katedry. Cena zlr. 10—, w trwałej i pięknej oprawie zlr. 13—.

*Witanowski Kawicz Michał.* *Monografia Łęczycy.* Staranne wydanie nowej pracy cenionego autora, 4-to, str. 195 z 9 rycinami, zlr. 3—.

*Wybranowski Aleksander.* *Ongi w dworach i dworach szlacheckich.* Opowiadania. Cena zlr. — 50.

*Zaleski Bohdan.* *Dzieła pośmiertne.* Nowe, tanie wydanie. 2 tomy zlr. 1—, w oprawie zlr. 1 80.

*Z bibliotek rosyjskich.* I. Ces. biblioteka publiczna w Petersburgu II. Biblioteki duchowne w Kijowie, zlr. — 80.

*Życie ojca Hermana (Cohena), Karmelity.* Przekład z francuskiego. Zlr. — 90.





33511 / 2